Nr. 21. 30 h. = 25 fen.

SZERLOK HOLMES

TYGODNIK KRYMINALNY.

Kraków, dnia 23 października 1909.

Z treści: **Fabrykant dyamentów.**

Wyohodzi w każdą sobotę.



Szerlok Holmes zaczął opuszczać się do wnętrza studni.

Przedruk wzbroniony.
Prenumerata kwartalna (13 numerów) wraz z przesyłką pocztową kor. 3·60, mk. 3·60, rs. 2·—.

Szerlok Holmes

Tygodnik kryminalny.

Redakcya i Administracya: ul. Zielona 7.

Prawo przekładu na inne języki zastrzeżone.
Cena numeru pojedynczego 30 hal., 25 fen., 15 kop.
Wychodzi w każdą sobotę.

Nr. 21. Kraków, dnia 23 października 1909. Nr. 21.

ZE ŚWIATA.

Morski rozbójnik.

Morskie sądy angielskie skazały pirata Johna Taylora na dożywotnie ciężkie roboty. Pochodził on z Antwerpii, a rodzinne jego flamandzkie nazwisko brzmiało Jaf Meitelmanns. W młodych już latach zapoznał się Jaf z Oceanem. Ale jako ciekawy i niestały chłopak, nie utrzymał się długo na jednym okręcie. Zawsze dezertował wśród nocy i mgły, wskakiwał nagle na otwarte morze, a pewnego razu tułał się po głębinach Oceanu Spokojnego przez 14 godzin, aż dostał się na ląd i przez trzy tygodnie żył owocami i korzonkami. Gdy mu to głodowe życie się sprzykrzyło, wstąpił znowu do służby jako marynarz na pokład okrętu „Nowy Tygrys“. Był to mały hiszpański żaglowiec, którego cała załoga składała się z trzech ludzi, wliczając w to i kapitana. Kilka miesięcy był Jaf wzorowym marynarzem. Potem odżyła w nim znów chęć przygód i awantur, ale nie mógł w żaden sposób uciec z żaglowca. Wziął więc pewnego razu naładowany rewolwer i zastrzelił kapitana wraz z dwoma marynarzami. Fryderyk Skarret, dwunastoletni chłopiec, który spał w kajucie, pospieszył na pokład. Jaf skierował na niego lufę rewolweru, ten jednak wyprosił się od śmierci, i obydwaj niedorostki puścili się we dwójkę na Ocean.

Gdy pewnego razu nastała cisza morska, wydrapali się obydwaj nad pokład i zerwali szyld okrętu „Nowy Tygrys“, a na jego miejsce wymalowali poetyczny napis „Biała Róża“.

Fryderyk był kompletnie sterroryzowany przez swego towarzysza. Był dręczony przez niego i dręczony wyrzutami sumienia, ale nie mógł w żaden sposób odczepić się od mordercy.

Wtedy niespodzianie przyszła mu w pomoc burza, która rzuciła „Białą Różę“ na rafy Apamony w pobliżu wysp Fidżi. Burza rozerwała okręt na dwie części. Jaf i Fryderyk, zostali jako rozbitki uratowani przez Anglików.

Przed Anglikami podał się Jaf, za Johna Taylora, a jego towarzysz niedoli poświadczył to. Gdy jednak Fryderyk leżał pewnego razu w kajucie i przyszedł do niego kapitan statku, który ich ocalił, zaczął płakać biedny chłopiec nerwowo, piana wystąpiła mu na usta i dostał ataku konwulsyi, tak mu dogodziły podróże z piratą. Opowiedział potem kapitanowi wszystko, malując w strasznych barwach swoje cierpienia.

Anglik kazał okuć Jafa. Zasądzono go na dożywotnie roboty przymusowe. Skazaliby z pewnością mordercę i rozbójnika na śmierć, ale ustawa nie dopuszcza tego wymiaru kary, nikt bowiem ze sędziów nie widział pomordowanych.

Jaf rzucił ich w morze. Dlatego — powiada w tym wypadku ustawa — nie jest rzeczą dowiedzioną, czy zabici nie byli tylko zranionymi, czy nie przyszli w morzu do siebie i nie uratowali się. Tak prawo uratowało życie łotra, tylko Fryderyk Skarret jest nie do uratowania. Dostał pomięszania zmysłów.

Oszustwo urzędnika bankowego.

Pewien drezdeński bank został przez swego urzędnika poszkodowany na 26.000 marek. Oszustwo odbyło się w ten sposób:

Urzędnik bankowy Artur Miller podniósł conto

pewnego klienta, wynoszące bardzo małą sumę — do wysokości 27.400 mr. i sprezentował go w filialnej kasie banku, gdzie osobiście nie był znany. Urzędnicy tamtejsi zapytali z obowiązku, czy conto to wynosi więcej, niż suma, na którą czek jest wystawiony, i otrzymali potwierdzającą wiadomość. Na drugi dzień, gdy zjawił się tam oszust, wypłacono mu bez trudności ową sumę.

Drugiego dnia otrzymuje bank depeszę, w której donosi Miller, że złamał sobie na wycieczce nogę i zażądał telegraficznego przesłania znaczniejszej sumy z zdeponowanej przez siebie kwoty w banku.

Przypuszczają, że oszust przywłaszczył sobie papiery kelnera i pod fałszywem nazwiskiem przyłączył się do trupy wędrownych aktorów, gdyż zawsze entuzyazmował się sceną i często brał udział w amatorskich przedstawieniach.

Zamach rewolwerowy na sędziego.

Stelmach Henryk Paul w Kitzbüchel, miasteczku tyrolskiem, miał proces z własną swą matką o spadek po ojcu. Na ostatnim terminie sądowym usłyszał wyrok oddalający go ze wszystkiemi roszczeniami, jako bezpodstawnemi i ustawowo nieuzasadnionemi.

Rozwścieczony Paul wyszedł z sądu i poprzysiągł zemstę sędziemu.

Będąc już na ulicy, wyciągnął rewolwer i dał trzy strzały do parterowego okna kancelaryi sędziego.

Strzały, szczęśliwym trafem, nie zraniły ani sędziego ani jego protokolanta. Zanim zbrodniarz zdążył po raz czwarty wystrzelić — wyrwali mu przechodnie broń z ręki.

Związano go i odstawiono do sądu.

W rewolwerze znaleziono jeszcze trzy ładunki.

Żywa pochodnia.

Jak straszne skutki pociągnąć za sobą może bezmyślny, a karygodny zwyczaj dolewania nafty lub benzyny do pieca, celem prędszego rozniecenia ognia — dowodzi mam znowu jeden wypadek, niestety! nie pierwszy i nie ostatni!

W miasteczku Riksdorf, chciała dziewięcioletnia córeczka robotnika kolejowego ugotować śniadanie, dla chorej swej matki. Ponieważ ogień gasł ciągle — dziecko wzięło bańkę z naftą i wylało część jej zawartości na tlejące węgle.

W tym samym momencie wybuchła nafta i płomienie objęły w jednej chwili sukienkę nieszczęśliwego dziecka. — Krzycząc o pomoc, pobiegła dziewczynka do okna kuchennego. W śmiertelnym strachu otworzyła okno i skoczyła z wysokości drugiego piętra do ogrodu. Na jej krzyk, pospieszyli domownicy i stłumili ogień na niej. Lekarz założył jej pierwszy opatrunek.

Ponieważ dziecko odniosło oprócz ran z poparzenia, także ciężkie uszkodzenia spowodowane upadkiem — przeniesiono ją do miejscowego szpitala w stanie nie wróżącym najmniejszej nadziei wyzdrowienia.

Dziwnym zbiegiem okoliczności, wydarzył się w tej samej miejscowości analogiczny wypadek.

Żona pewnego stolarza miała być z powodu cierpienia nerwowego przeniesioną do szpitala. Podczas gdy mąż odprowadził dwoje dzieci do sąsiadów, dostała nieszczęśliwa kobieta ostrego napadu szału, oblała ubranie na sobie naftą i podpaliła.

Sąsiedzi zaalarmowani krzykiem nieszczęśliwej i dymem, sprowadzili straż pożarną.

Zanim jednak zdążono z ratunkiem, kobieta zginęła w płomieniach.

ALLOTRIA.

W restauracyi.

Gość. Kellner, ktoś musiał mi widocznie kapelusz zamienić! Tu wisi tylko jeden, a ten nie jest moją własnością!

Kellner. Czy kapelusz pański był lepszy niż ten tutaj?

Gość. Oczywiście! Inaczej nie wołałbym pana!...

Trzeba korzystać z pomyślnych okoliczności.

Zakochany. Panno Wiero! Od kilku tygodni usiłuję nadaremnie oświadczyć się pani! Nie dasz mi nigdy dojść do słowa, tylko mówisz sama jak najęta!... Korzystam tedy z chwilowej zupełnej chrypki pani — i proszę cię o twoją rękę!...

Z cyklu przygód Szerloka Holmesa.

FABRYKANT DYAMENTÓW.

ROZDZIAŁ I.

Zagadkowe powikłanie.

Był to przyjemny dzień niedzielny. Dzień bez mgły, co w Londynie jest niezmierną rzadkością. Powietrze było jasne i przeźroczyste i dopiero teraz można było ocenić cały urok tego olbrzymiego miasta, należącego do jednego z najpiękniejszych na świecie.

Szerlok Holmes stał w oknie swojego mieszkania i patrzył na barwny tłum, snujący się na dole.

— To szczególne mistrzu! – zawołał Harry, stojący tuż za nim — patrz! O tej porze dama idąca pieszo przez ulicę.

Szerlok Holmes skinął głową, nic nie odpowiadając. I on zauważył młodą, elegancką kobietę, która właśnie miała przejść przez ulicę na drugi chodnik i czekała tylko stosownej chwili, by prześliznąć się przez nieskończony łańcuch pojazdów najrozmaitszego rodzaju.

Obok niej, może 10 kroków oddalony, stał konstabl, pilnujący porządku ulicznego.

— A to głupiutkie stworzenie! — mruknął Holmes do siebie – ma tuż pod nosem policyanta, który obowiązany jest każdego przez środek ulicy przeprowadzić i nie zażąda tego od niego. Czyżby nie znała londyńskich zwyczajów?!

— Wzrost, chód i ruchy wskazują na angielkę, to niema najmniejszej wątpliwości!

Holmes przytknął lornetkę do oczu.

— Myślałem sobie! — mruknął — Wzrok mój nie omylił mnie jeszcze nigdy!

— Co widziałeś mistrzu?! — zapytał Harry z ciekawością.

— Zdaje mi się, że ta pani pani przyjdzie do nas!

Harry chciał coś jeszcze odpowiedzieć, gdy konstabl na ulicy podniósł białą laskę do góry. Ruch kołowy wstrzymał się w tej chwili i młoda kobieta miała wreszcie sposobność przejść przez ulicę.

Niezadługo rozległ się dzwonek i Harry pobiegł jak strzała do przedpokoju.

Ta sama dama, którą widzieli z okna wpadła teraz wzburzona do pokoju.

— Chciałam mówić z mr. Holmesem! — zawołała melodyjnym głosem.

Harry, nie mając już czasu, by niespodziewanego gościa zameldować. wskazał tylko drzwi ręką, w których równocześnie prawie ukazał się wielki detektyw.

— Czy pan Holmes?

Spojrzała na niego wielkiemi oczyma z poza woalki. Gęsta jedwabna tkanina nie pozwalała na dokładne zobaczenie twarzyczki, ale regularne miękkie rysy, niezwykle duże oczy jedwabnemi rzęsami opatrzone — były jednak nawet z pod gęstej woalki widoczne.

Detektyw skłonił się.

— Przedewszystkiem, zechciej pani zająć miejsce!

— Obawiam się, że straciłam już za wiele

czasu! Sprawa przedstawia się następująco panie Holmes! Mój mąż zniknął bez śladu! Czy masz pan czas, czy możesz natychmiast iść ze mną?

— Ile czasu upłynęło od tego wypadku?

— Godzina, panie Holmes!

— A więc, nie zwlekajmy! Prędko: jak się to stało?

— Mój mąż dopiero niedawno przybył do Londynu, przedtem był w Paryżu i tam zdaje się szukaćby należało przyczyn.

— Dlaczego mówisz pani ciągle tylko o swoim mężu? Czy pani nie byłaś w Paryżu?

— Nie — — — to jest tak — — — mój Boże! Daruj mi pan moje roztargnienie. Wtedy przebywałam w Londynie!

— Dobrze! Zechciej pani dalej mówić.

— A więc przyszłam przed jaką godziną do jego mieszkania, by go odwiedzić!

— Odwiedziłaś pani męża w jego mieszkaniu?

— Ach! Co ja wygaduję!... Przebacz mi pan — chciałam powiedzieć, że wróciłam w pół godziny do domu i dowiedziałam się, że będzie czekał na mnie. Ale co mnie najsilniej zastanowiło to fakt, że jakaś kobieta przyszła do niego!

— Pozwól pani, że ja przerwę. Czy nie masz najmniejszej podstawy podejrzewać go o wiarołomstwo?

— O tem nawet mowy nie ma, panie Holmes!

— Przypuszcza pani zatem zbrodnicze uprowadzenie?

— Wszystkie okoliczności wskazywałyby na to!

— Dobrze! Mówmy dalej!

— Zawołałam zatem cały personel hotelowy.

— Pardon!... Pani mieszka w hotelu?

— Ach, tak! Zapomniałam panu o tem powiedzieć. Nikt nie widział mego męża i tej damy z wyjątkiem portyera.

— Jak wyglądała ta kobieta?

— Nikt mi jej nie mógł opisać. Nawet nie wiadomo, czy młoda, czy stara. Była w ten sposób zawoalowana, że nawet końca nosa nie pokazała!

— Allright!... Poszli piechotą, czy pojechali?

— Pojechali powozem!... To jest ostatni ślad ich — — —

— Nie widzę w tem doprawdy nic tak niepokojącego. Może poszli poprostu na przechadzkę, do kawiarni, lub restauracyi — — Nie pojmuję przeto wzburzenia pani — —

— A jednak, panie Holmes, będziesz innemi oczyma patrzał na to, jeżeli ci powiem, że mąż mój otrzymywał od 3 dni bez ustanku listy z pogróżkami śmierci. Człowiek ten nie miał właśnie znajomości absolutnie z żadną kobietą!...

Po raz pierwszy uśmiechnął się detektyw.

— Na wierność mężczyzny nie zawsze przysięgać można! Sprawa jednak przedstawia się poważniej wobec tego, co pani mówiła o listach z pogróżkami!

— Nie zapomnij pan przy tem, że mąż mój nie pozostawił najmniejszej wiadomości dla mnie, chociaż wiedział, że za pół godziny powrócę do hotelu.

Holmes ujął za czapkę.

— Pójdzie pani naprzód? — zapytał otwierając drzwi.

— Bardzo dobrze!... Oczekuję pana na dole! — rzekła wychodząc z szumem jedwabnych swych halek i spódniczek.

— Czy pan chcesz się naprawdę zająć tą głupią sprawą? — zapytał Harry.

— Sprawa ta poważniejsza niż przypuszczasz!

— Ależ mistrzu! Przecież to widoczne, że kobieta jest zazdrosna!

— Przeciwnie! Właśnie, że nie jest zazdrosną i ta okoliczność przyczyniła się do katastrofy!

— Jesteś pan więc przekonany, że rozchodzi się tutaj o pikantne intermezzo?! Jakaż będzie w tem nasza rola?

— Zależy to od okoliczności! Ani dziś, ani jutro nie mamy nic do czynienia. Dla tego możemy zrobić mały spacer. Albo uspokoimy tą lady, albo zapobiegniemy zbrodni, albo ją odkryjemy!

Podał ramię kobiecie, oczekującej na dole, zawołał automobil i pomógłszy jej wsiąść, sam z pomocnikiem swoim umieścił się naprzeciw niej w powozie. Dama rozkazała jechać do hotelu Westminster.

Na miejscu przystąpił Holmes od razu do badania portyera.

— Powiedz nam pan, panie portyerze przebieg tej ciekawej sprawy! — rzekł, zapalając krótką swoją fajeczkę — Pan wiesz, o co się rozchodzi!

— Wiem, panie Holmes! — odrzekł odźwierny, który natychmiast poznał wielkiego detektywa — Mr. Lionel miał przed dwiema godzinami odwiedziny pewnej damy, której twarzy zobaczyć nie mogłem z powodu gęstej woalki.

Potem wyszli oboje. Wsiedli do powozu i pojechali!

— Czy mr. Lionel sam tu mieszka?

— Yes!

— Dziękuję! W którym kierunku powóz pojechał?

Portyer wskazał ręką w dół ulicy, a detektyw skinął ręką na Taksona. Lady zasunęła jeszcze szczelniej woalkę na twarz, gdy Harry chciał na nią spojrzeć przelotnie.

Opowiadanie portyera wykazywało pewne sprzeczności w jej relacyach. Już miała zamiar tłumaczyć się z tego Szerlokowi, ale ten zrobił taką minę jakby wcale nie spostrzegł, że kłamała. Wolała zatem nic nie mówić.

Dopytując się ludzi o ślady powozu doszli do brzegu Tamizy. Stąd na Barkingtown — ale i na tem skończyły się na razie poszukiwania.

— Mr. Holmes! — biadała młoda kobieta — Noc się robi, a męża mego niema. Co z nim się dziać może?!

Detektyw spojrzał na zegarek.

— Wracajmy! — powiedział.

Po drodze zapytał jeszcze kilku ulicznikow o powóz. Powiedziano mu, że podobny pojazd skręcił na prawo i w szalonym tempie pognał z powrotem do miasta — do najbliższej stacyi miejskiej kolei — do Beekton.

Droga do Beekton prowadziła przez rozległe łąki. Wszyscy troje szli bez spoczynku wąską ścieżką polną, odległem tem przedmieściem, nie mającem szczególniejszych pretensyi ani do dobrej sławy, ani bezpieczeństwa.

Wieczór już zapadł zupełny i spadła obfita rosa. Wczorajszy deszcz przyczynił się do tego, że na mokrej trawie wyraźnie można było rozróżnić odciśnięcia stóp przechodzących ludzi.

Bystre oko detektywa zauważyło wkrótce ślady wielkich, szerokich butów chłopskich, a po środku ślady wąskiego zgrabnego męskiego obuwia.

Teraz stanął i oczy utkwił nieruchomo w ziemi.

— Harry!

— Mistrzu?

— Sprawa przybiera coraz poważniejszy obrót! Czy cię nic nie uderza?!

Pomocnik skierował oczy na dół.

Harry rzucił się na ziemię, rozgarnął rękoma źdźbła, z których część była pogięta i połamana i rzekł po chwili:

— Tu stał drugi człowiek, mr. Holmes, który miał takie same eleganckie buty, jak i ten, za którym czynimy obecnie poszukiwania!

— Tak jest!... Ale to nie jest jeszcze najbardziej uwagi godne! Patrz dalej!

Harry Takson, który przez tyle lat praktyki nabył już wprawy w swojem rzemiośle, przyjrzał się jeszcze raz śladom i krzyknął z tryumfem.

— Człowiek ten uciekał przez pole zbożem obsiane!

Twarz detektywa rozjaśniła się.

— Brawo, Harry! Chciałem się przekonać, czy nauczyłeś się czego przy mnie.

W tej chwili przechodzili w łan zbożowy.

Po chwili zatrzymał się wielki detektyw i wskazując na zgniecione w jednem miejscu kłosy rzekł:

— Tu leżał ów nieznajomy człowiek!

— Kto? — zawołała lady nagle.

— Człowiek, który w tem miejscu przeciął odwrót mr. Lionelowi.

— A co? Czy nie mówiłam? — biadała piękna pani — Mój biedny, nieszczęśliwy Henryk!

— Uspokój się lady! — rzekł słynny detektyw — Mamy teraz przynajmniej ślad, i sądzę że wkrótce będziemy u celu.

W tej chwili usłyszano głos.

— Stój! Stój!

Gdy to nie pomogło, jeszcze raz ktoś ryknął z całego gardła:

— Stój do dyabła! Stój!

Teraz zatrzymał się Szerlok Holmes i obejrzał się.

Przez środek pola, tratując na prawo i lewo zboże zbliżał się mały, chudy człeczyna w mundurze inspektora policyi. Już zdaleka krzyczał:

— Dżentelmenowie! Czeka was kara! Jak śmiecie łazić tędy? Czy nie wiecie, że tratowanie zboża jest wzbronione?

I mały człowiek stanął w groźnej postawie naprzeciw detektywa. Ale zaledwie spojrzał w sokole jego oczy, gdy podniósł rękę do czapki i salutując grzecznie, zawołał:

— Och, wybacz pan, panie Holmes! Panu wolno i zboże tratować.

A potem zawołał szybko, patrząc mrugającemi oczyma na lady.

— Zbrodnia? Prawdziwa, krwawa zbrodnia? Już dawno nie spotkałem się z nią urzędownie! Co się stało?

— Zobaczysz pan zaraz, jeżeli zechcesz pójść z nami. — odpowiedział detektyw i wyszedł ze zboża.

Gdy inspektor policyi poznał, że w ten sposób nie dojdzie do celu, zwrócił się prędko do lady.

— Czy uczynił pani kto krzywdę?

Na panią podziałał uniform zarówno niepokojąco jak uspakajająco. Zaniepokoił o tyle, że chciała pozbyć się obecności inspektora, uspokoił zaś ją natomiast, gdyż czuła się bezpieczniejszą przy przedstawicielu policyi. Odpowiedziała tedy płacząc.

— Inspektorze! Spotkała mnie wielka krzywda i straszne nieszczęście! Uprowadzono mi męża mr. Lionela.

Inspektor policyjny zatrzymał się, a ponieważ szedł na przedzie, musiał się zatrzymać i Holmes i Takson.

— Tak? To jest wszystko, mr. Holmes? – zawołał lekceważąco — To nie masz pan nic lepszego do roboty, jak szukać zaginionych mężów, którzy nad swe młode i piękne żony przekładają zapewne jakieś awanturnice?

— O! — jęknęła lady — i zrobiła minę jakby była bliską omdlenia.

Ale Harry zawołał.

— Skąd pan wiesz, panie Snatterboks, że jakaś dama uprowadziła mr. Lionela?

— No, mężczyzna nie był z pewnością uwodzicielem! Zazwyczaj bowiem niewiasty nas uwodzą Lady. Mogę dać pani mały przykład. I ja miałem przed kilku laty coś podobnego. Trzeba pani wiedzieć, że każda kobieta, która mnie tylko ujrzy, musi się natychmiast śmiertelnie we mnie zadurzyć.

Idę ja pewnego razu — —

— Naprzód! — rozkazał Holmes i poszedł szybkim krokiem przez łąkę. Nagle jednak zboczył z dotychczasowego kierunku, stanął na chwilę i wskazując na stojący zdala jakiś szary budynek – zapytał nagle:

— Harry! Czy twój rewolwer w porządku?

— Well, mister.

Lady chciała krzyczeć, ale detektyw spojrzał na nią niemal groźnie:

— Ani słowa! Jeżeli pani nie jesteś w stanie opanować swoich nerwów, to proszę lepiej pozostać tutaj.

— Co za przypuszczenie mister! Jestem młodą kobietą, ale posiadam dosyć odwagi! Nie, za skarby świata nie zostanę tu sama jedna. Tu mogłoby mi się co stać przecie!

Szerlok Holmes, zajęty wyłącznie swojemi myślami, wskazał na ziemię i rzekł:

— Tu było 4 ludzi, walczących na śmierć i życie.

Potem wskazał na szary budynek w oddali i zawołał:

— Naprzód!

Nie był to właściwie budynek, ile raczej ruiny starego zamczyska, należącego niegdyś do stronników królewskich, a który potem został spalony przez Cromwella.

Odważna kobieta chwyciła się kurczowo za poły surduta Holmesa, a detektyw był zbyt uprzejmym dla kobiet, by ją odczepić od siebie.

Wreszcie podeszli do ruin, Holmes przeskoczył przez mur.

W tej chwili zaczął przeraźliwie pies szczekać, ale to takim głosem, który mroził krew w żyłach obecnych. Harry Takson obejrzał się, skąd to niemiłe ujadanie pochodziło, gdy olbrzymi dog wyskoczył i popędził na nich.

Lady stała najbliżej rozjuszonej bestyi. Harry Takson złapał ją wpół i rzucił o ziemię i sam również upadł — i pies przeleciał po nich. Widząc, że pewny łup mu się wysunął, wrócił się, oparł potężne swe łapy o piersi Taksona i rozwartą paszczę zbliżył do jego twarzy — wtem zagrzmiał strzał Holmesa i olbrzymie zwierzę zwaliło się martwe na ziemię.

Harry Takson poskoczył.

— Niegrzeczna kreatura czworonożna! — mruknął — To już druga krawatka, jaką w 8 dniach tracę.

— Cicho! — rozkazał Szerlok Holmes — Odkryłem studnię. Takson i lady wstrzymali oddech. Detektyw schylił się nad studnią i słuchał. Z głębi odzywało się ciche jęczenie czy mruczenie.

— Do dyabła! — mruknął Holmes — nie mamy liny. Ale nie namyślając się długo skoczył na brzeg ocembrowania i potem zniknął w ciemnej czeluści, opierając się od wewnątrz stopami i rękami o jej ściany.

Harry nie mógł na to bezczynnie się patrzeć. Za przykładem swego mistrza udał się tą samą niebezpieczną drogą w głąb studni.

Kobieta, która widziała, że jej opiekunowie i obrońcy znikają po kolei jakby ich dosłownie ziemia pożerała, była bliską tego, żeby się sama nie rzucić za nimi.

Tymczasem detektywi dostali się na dno stu-

dni. Miejsce to, jak się zdaje, służyło niedyś za dożywotnie więzienie nieszczęśliwych skazańców. Świadczyły o tem grube, rdzawe łańcuchy i czaszki poniewierające się na ziemi.

Wtem światło latarki Holmesa padło na jakąś żywą postać, leżącą na ziemi. Był to młody jeszcze człowiek ze skrępowanemi rękami i nogami, ubrany bardzo elegancko i wyszukanie, ale cały uwalany w błocie i ludzkim kale.

Prawdziwie brudno-śmierdzące żywe zjawisko podziemi!...

Przerażone swoje oczy zwrócił na przybyłych a wzrok jego zdradzał cierpienie i trwogę.

— Możesz pan być spokojnym! — rzekł Szerlok Holmes — nie jesteśmy twoimi wrogami.

Nóż zabłysł w jego dłoni i w jednej chwili więzy krępujące nieszczęśliwego, zostały przecięte.

— Harry, wyjmij mu knebel z ust!

— Kto pan jesteś? — zapytał Holmes z współczuciem.

— Nazywam się Lionel — odparł więzień po francusku — Ratunku! Tchu! Prędko!... Ratunku powietrza, umieram!

Szerlok przymrużył oczy i patrzył podejrzliwie na Francuza. Jego krzyki i gestykulacya nie robiły wrażenia prawdy. Czarna broda otaczająca jego wąską twarz zdawała się jakby przyprawiona. Tak samo i czerwone włosy, prawdopodobnie farbowane nie były stosowne do czarnego zarostu brody. Ale tu, w tej piwnicy nie było czasu do rozmyślań i dochodzeń. Bądź co bądź nieznajomy cudzoziemiec był rzeczywiście bardzo osłabiony i ledwie trzymał się na nogach.

Szerlok Holmes spojrzał w górę studni i rzekł:

— Harry!...

— Mistrzu?

— Zrobimy żywą drabinę, aby mr. Lionel mógł wyjść pierwszy. Właź na moje ramiona!

Następnie przy pomocy Holmesa wyspinał się Francuz na niego, a stamtąd został wciągnięty znowu ramionami Taksona na barki tegoż ostatniego, tak że ostatecznie z łatwością mógł się wydostać na powierzchnię ziemi.

Słyszano tylko z zewnątrz krzyk radości, a potem zapanowała cisza.

Harry czekał kilka chwil, a potem zawołał.

— Hallo!... Musisz mi pan teraz dopomódz!

Żadnej odpowiedzi. Wtedy Harry własnemi siłami wydrapał się w górę.

— Mr. Lionel!

Ale głos jego ginął bez echa w ciemności. Ani żywej duszy nie było wokoło — — — Mr. Lionel i nieznajoma lady zniknęli bez śladu.

Młody detektyw popatrzał zgorszony i wsadziwszy obie ręce do kieszeni spodni, gwizdnął cicho przez zęby.

— A to podła banda! — mruknął — No, ci muszą mieć ładne rzeczy na sumieniu!

Schylił się nad studnią i zawołał głośno:

— Panie Holmes!

— Już wiem — ozwał się stłumiony głos z głębi — niema nikogo!

— Wiedziałeś pan o tem i pozwoliłeś im umknąć?!

— Well... Czy nie masz kilku krótkich powrozów przy sobie?

— Mam!

— Rzuć mi je tu, ukryj się i czekaj, co nastąpi!

Wzruszając ramionami uczynił Harry, jak mu rozkazano, skrył się w zaroślach i czekał. Po jakimś czasie usłyszał głosy.

— Czy sznur ten wystarczy? — zapytał ktoś.

— Z pewnością! — odpowiedziano.

Teraz z mroku nocnego ukazało się kilku mężczyzn. Harry z bijącem sercem obserwował ich z swej kryjówki. Zamiar ich był aż nadto widoczny. Chcieli człowieka znajdującego się, jak przypuszczali na dnie — napowrót wydobyć. Byli więc prawdopodobnie tymi, którzy go tam wrzucili. Wszyscy mieli na sobie długie płaszcze, maski na twarzach, a na rękach czarne rękawiczki.

W milczeniu spuścili go po linie do studni a gdy usłyszeli zgłuszony ton z głębi, zaczęli wspólnemi siłami ciągnąć linę do góry. Ale ciężar był bardzo znaczny w stosunku do ich sił.

Wreszcie z wielkiem natężeniem wywindowali go do góry. Najpierw ukazała się zamaskowana twarz, a potem zobaczył zaraz Harry swego mistrza ze skrępowanemi nogami i rękami, twarz zaś jego była zakryta białą chustką.

— Macie go?

— Mam!

— A więc dalej z nim!

Dwóch powlokło skrępowanego, trzeci gwizdnął na stojący opodal wóz.

Harry milczał jak zaklęty, nie chcąc nic czynić bez dyrektywy swego mistrza. Nagle usłyszał w nocnej ciszy, jak Szerlok Holmes się odezwał:

— Dżentelmeni! Czy nie jestem za ciężki dla was?

— Jeszcze drwi z nas! — oburzył się jeden. Idący naprzód przystanął.

— Ten człowiek ma zupełnie inny głos.

— Zatkałem mu przecie gębę! — odpowiedział jeden z tych, co go nieśli.

Wtem odezwał się wielki detektyw:

— Po co się trudzicie obnoszeniem Szerloka Holmesa po tem podwórzu?

Ta słowa miały na opryszków wpływ magiczny.

W nieopisanym przestrachu upuścili go na ziemię.

— O, nie jesteście zbyt uprzejmi, moi panowie! — zauważył Holmes kwaśno.

Ale jeden z nich krzyknął:

— Nie dajcie się brać na kawał, głupcy!... To są jego zwyczajne maniery!

— Macie słuszność, dżentelmeni! — zawołał Holmes, zrzucił więzy z siebie i zdarł chustkę z twarzy — jesteście wszyscy moimi więźniami!

Stał pośrodku nich, bezbronny, z rękoma w kieszeniach i patrzał po nich z tryumfem. Oni nie chcieli własnym oczom uwierzyć, strach opanował ich serca.

— Jesteśmy zdradzeni! — krzyknął pierwszy — Precz z nim.

— Stójcie! Ręce do góry! — zawołał nagle za nimi jeszcze jeden głos.

Harry wypełznął jak wąż z krzaków i kilkoma potężnymi susami znalazł się przy nich.

Niespodziewanem ukazaniem się odsieczy, przestrach ich wzmógł się do kulminacyjnego punktu.

— W nogi! Ratuj się, kto może! — zawołał jeden, a reszta rzuciła się do ucieczki.

Ale Holmes rzucił się do prowodyra i ujął go w swoje stalowe ramiona, Harry wyszukał sobie drugą ofiarę. Tymczasem trzeci z bandytów pochwycił go w pół i wyrzucił w powietrze, tak, że biedny Harry upadł jak długi w trawę.

Tymczasem obydwaj zniknęli w ciemnościach nocy.

— Czy masz go? Trzymaj silnie! — zawołał mistrz.

— Tak, mam, ale laskę, którą puścił w mojem ręku!

— To trzymaj laskę! Za wszystko trzeba być wdzięcznym Bogu! A teraz pójdź tu!

Jeniec Holmesa dobywał wszystkich sił, by się uwolnić z niemiłego swego położenia, ale detektyw był silniejszym od niego.

Gdy nieznajomy sam ocenił, że ucieczka jest dla niego niemożliwa, rzekł pospiesznie:

— Człowieku, puść mnie! Dam ci czek na 1000 funtów szterlingów!

— Tyle zarabiamy codzień! — odrzekł Harry ironicznie.

— Dwa tysiące! — jęknął drugi.

— Zdejm mu maskę z twarzy Harry! — rozkazał detektyw nie zmieniając swojej pozycyi.

Harry spełnił polecenie.

Księżyc oświecił twarz o ostrych, wyrazistych rysach. Osłupiałym wzrokiem spojrzał nieznajomy na Holmesa. Ten puścił go teraz i rzekł z ironicznym ukłonem.

— Dobry wieczór, panie dyrektorze! Nie spodziewałem się, że to pan!

— Poznałeś mnie pan? — mruknął pierwszy.

— Twarzy, która tyle razy była unieśmiertelnianą w angielskich illustracyach, nie zapomina się tak łatwo.

— Na miły Bóg! Co panu ofiarować, byś mnie nie zdradził?

— Tylko bez żadnych obraz, panie Blackhurst!

— Wybacz pan, jeżeli to uczyniłem! Pan nie pojmujesz mojej trwogi i rozpaczy. Jestem zrujnowany. Panie Holmes, coby powiedziała cała Anglia dowiedziawszy się — —

— Że pan Blackhurs, dyrektor Indian-South-Africa-Company, ma jeszcze uboczne zajęcie, jako rabuś uliczny! — uzupełnił detektyw.

Tamten milczał, a Harry wydał okrzyk podziwu.

Szerlok Holmes patrzał czas jakiś w ziemię.

— Czy zechcesz nam pan objaśnić, co za znaczenie ma ta cała historya?!

Dyrektor wstrząsnął głową.

— Na wszystkie świętości przysięgam, że nie mogę!

— Czy także nie powiesz mi pan, kto jest ten człowiek, którego zapakowaliście do studni?

— Gdybym to powiedział, to znaczy, że miałbyś mnie pan w swym ręku!

— A czy pan sądzisz, że tak nie jest?

— Nie, panie Holmes!

— Dobrze, nie chcę pana siłować do zeznań, któreby pana postawiły w jeszcze w drażliwszem świetle, niż to, w jakiem pan jesteś obecnie! Spo-

strzeżenia moje, co do pańskiej osoby wystarczają mi na razie zupełnie! Proszę za mną mr. Blackhurst!

Drugi próbował jeszcze układów.

— Czy pan mnie nie zdradzisz?

— Dopóty, dopóki będę uważał, że nie wymaga tego wzgląd na społeczeństwo.

Dyrektor odetchnął głęboko.

— Trzymam pana za słowo, panie Holmes! Jestem przekonany, że w tym wypadku zachowasz pan grobowe milczenie!

Przy tych słowach drżał jak liść osiki.

Szerlok Holmes wzruszył ramionami!

— Czy postarać się panu o powóz, mr. Blackhurst? Robisz pan wrażenie człowieka, który pił za dużo!

— Nie, nie! Nie chcę być przez nikogo widzianym! Pójdę sam!... Więc pan mnie rzeczywiście puszczasz wolno?

Nie chciał wierzyć temu.

Szerlok Holmes odwrócił się od niego i dyrektor Blackhurst oddalił się wreszcie chwiejnym krokiem z podwórza.

Wielki kryminalista zapiął surdut, naciągnął czapkę na czoło i rzekł krótko do Taksona:

— Chodźmy do domu!...

ROZDZIAŁ II.

Dalsza praca.

— Doprawdy dziwna historya! — mówił Harry, stojąc oparty tyłem do okna — Jak rozwiązać ową zagadkę: dwie tajemnicze, niknące damy, zazdrosne o Francuza — — — Ten połów w studni człowieka, który natychmiast uciekł, a wreszcie, zamiast domniemanego zbrodniarza, spotykamy na tak podejrzanym terenie jednego z najbogatszych i w najlepszej opinii stojących obywateli — to doprawdy wszystko nie do pojęcia! Czy mogę powiedzieć moje zdanie w tym względzie?

— Słucham cię Harry! — odparł Holmes z uśmiechem.

— Dramat zazdrości — — —

— Trafiłeś jak kulą w płot — zaśmiał się teraz detektyw całem gardłem. — Mogę cię zapewnić na podstawie moich wywiadów, że p. dyrektor należy do najzapamiętalszych nieprzyjaciół kobiet i w żadną intrygę miłosną nie dałby się uplątać! Musimy obrać inną drogę, by dojść do tego, kto jest uwolniony przez nas ze studni człowiek? Czy przeglądałeś album zbrodniarzy?

Harry zamknął wielką książkę, trzymaną w ręku.

— Tak mistrzu! — odpowiedział — W albumie nie ma jego podobizny!

— Hm! Hm!... Ale za to, co się tyczy damy!.. Co do tej kobiety, to jestem pewny, że gdzieś ją widziałem!

— Niemożliwe mistrzu! Jeszcze, gdyby była blondynką! — — —

— Bardzo słusznie!... Otóż ona jest blondynką! To nic nie znaczy, że wychodząc na ulicę wdziała czarną perukę! Zaczekaj, zdaje mi się nawet, że gdzieś ją widziałem.

— Tak mistrzu! — zawołał nagle Harry — teraz sobie przypominam! Przed czterema tygodniami w teatrze — — —

— Zgadza się!... Miss Langsfield!

— Aktorka przedstawiająca Kleopatrę.

Holmes zamyślił się, a wkrótce zawołał:

— Harry, mój rajtrok!

— Rajtrok? Czy pan chcesz wyjechać konno na spacer?

— Well, do Hyde-Parku! Przebierzesz się za grooma i pojedziesz ze mną! Idź do tatersalu Jakobera! W dziesięciu minutach, żeby były dwa konie na dole!

— Allright, mr. Holmes!

W kwadrans potem wyjechał Holmes przebrany i ucharakteryzowany za sportsmena pierwszej klasy do Hydeparku. Cały elegancki świat używał w tych godzinach przejażdżki. Mogłeś tu spotkać polityków, artystów, arystokratów. — — —

Nikt nie zwracał uwagi na detektywa, ani go też nie pozdrawiał. Trudno bo było poznać go pod tak zmienioną maską i postacią.

Ubrany był po spacerowemu do konia, miał małą bródkę i czarny wąsik.

Popuścił koniowi cugli i kasztanek biegł, ile tylko miał siły w nogach.

Nagle, daleko w Parku, koń zwolnił biegu i zbliżył się powodowany wprawną ręką Holmesa do eleganckiego powozu dwukonnego, w którym rozparta na miękkich poduszkach na pół leżała młoda i piękna kobieta o bujnych formach ciała i uderzająco jasnych włosach.

Obok powozu przejeżdżało konno właśnie dwóch dandysów i Harry słyszał wyraźnie, jak obydwaj wymieniali swoje spostrzeżenia odnośnie do będącej w powozie piękności.

— To ona jest, nieprawdaż, zachwycająca kobieta!

— Kto?

— Mary Langsfield!

Harry spojrzał bystro i wyobraził ją sobie taką samą tylko z czarnymi włosami. Obraz ten zgadzał się zupełnie z wyglądem tajemniczej damy z ostatniego wieczoru.

Szerlok Holmes zaś ukłonił się z nieporównanym wdziękiem i szacunkiem nadjeżdżającej. Odwzajemniła mu pozdrowienie i zaraz zwróciła się z jakiemś pytaniem do młodzieńca towarzyszącego konno jej powozowi. Ten wzruszył ramionami i rzucił nic nie mówiące spojrzenie na Holmesa, poczem poprawił się w strzemionach i na znak wzgardy podniósł brwi.

Był to to młodzieniec ujmującej postaci i wytwornych manier, i jedno tylko możnaby mu zarzucić w nienagannym jego stroju: Były to jasne, cytrynowego koloru rękawiczki.

Holmes skierował teraz konia wprost na nieznajomego młodzieńca, a Harry, nie pojmując, co ta cała gra ma znaczyć doznawał pewnej nieokreślonej trwogi.

— Wybacz pan! — rzekł wielki detektyw kłaniając się grzecznie — Napróżno już od godziny chcę sobie przypomnieć, gdzie i wśród jakich okoliczności miałem szczęście pana poznać. Pamiętam tyle, że okazałeś się pan wtedy zarówno dzielnym i szarmanckim młodzieńcem. —

Pochlebstwo nie chybiło swego skutku.

Młody człowiek patrzał przez chwilę w zamyśleniu przed siebie, a potem odpowiedział:

— Mój panie, mimo najszczerszych chęci nie mogę sobie naszego spotkania uprzytomnić w pamięci owej tak dla mnie pochlebnej chwili!

— Pozwól pan, że przedewszystkiem przedstawię mu się — odpowiedział Holmes, zrównując swego konia z koniem nieznajomego — moje nazwisko jest markiz de Beaurivard!

— Cieszy mnie to niewymownie, panie markizie, że pana poznałem! — odpowiedział tenże — Ja nazywam się Henri Le-Noile. Jestem chemikiem i wybieram się niezadługo do Paryża, który jak się zdaje jest ściślejszą ojczyzną pana!

— Jakto?

— Pochodzenie pańskie poznaję po szyku i elegancyi pana, panie markizie.

Holmes skłonił się z podziękowaniem, a potem nagle zawołał:

— Teraz przypominam sobie skąd się znamy, panie Le-Noile!

Uczynił małą pauzę.

Obydwaj jeźdźcy zbliżyli się zupełnie do powozu aktorki, która z ciekawością i zainteresowaniem spoglądała na miłego zresztą intruza.

Szerlok Holmes mówił dalej zwrócony na pół do powozu, na pół do Le-Noile'a.

— Było to w Anatolii, panie Le-Noile! Znajdowaliśmy się wtedy obydwaj w drodze i zostali napadnięci przez bandę dzikich górali. Udało nam się z trudnością w ostatniej chwili schronić do tureckiego garnizonu, który zaraz został za nami zamknięty. Przez 45 dni broniliśmy się na życie i śmierć i bylibyśmy zgubieni, gdyby nie pańska odwaga!

I ta bajeczka nie chybiła swego celu. Le Noile'owi pochlebiło niezmiernie, że słowa te słyszała dama w powozie. Odpowiedział też żywo:

— Ach! teraz i ja przypominam sobie! Masz pan słuszność, panie markizie! Bawiłem wtedy w Anatolii z polecenia rządu tureckiego, by zbadać pokłady dyamentowe. Ale co się tyczy mojej dzielności, proszę nie wspominaj pan o niej, bo zawstydzasz mnie istotnie!

— Skromność pańska dorównywa odwadze! — odparł Szerlok Holmes, zwrócił swego konia i rzekł cicho do Harry Taksona:

— Skończony łajdak!...

Le Noile niezmiernie zadowolony z zawarcia znajomości z francuskim markizem, który zachwycony nowym swoim przyjacielem, zaprosił go nawet na ten sam dzień na kolacyę, Piękna aktorka pospieszyła z życzeniem, by przyjęcie odbyło się u niej w domu. Ona więc miała być gospodynią.

Szerlok Holmes podziękował w wyszukanych słowach za zaszczyt, pożegnał się z nimi i pogalopował naprzód. Gdy już był dość daleko, by nie być przez nich słyszanym, skinął na Harry Taksona.

— Czy pojmujesz?

— Jedno tylko! Że aktorka jest istotnie ową damą, z którą wyszukaliśmy ową zapadłą studnię!

— A ej towarzysz?

— Myślałem sobie, że może to wreście czło-

wiek, którego wyciągnęliśmy ze studni, a który nie podziękowawszy nawet, że po mojej głowie wylazł — ulotnił się potem bez śladu. Widziałem przelotnie tylko twarz jego, nie dostrzegam jednak najmniejszego podobieństwa!

— Dzięki genialnej jego charakteryzacyi!.. A jednak jest to on!

— Czy się nie mylisz mistrzu?

— Przeczytaj „Le Noile“ wstecz!...

Harry sylabizował: „Lionel“ —

— Przecież tak się nazywał człowiek w hotelu!

Holmes skinął głową.

— Ten mistyczny pan Le Noile zdaje się być trochę nieostrożnym! Mam nadzieję, że wkrótce wpadnie nam w łapkę!

— Ale z tem wszystkiem, panie Holmes, nie wiemy jeszcze, co on takiego zmalował!..

Szerlok Holmes wzruszył ramionami.

— Nie jest rzeczą pewną, czy nie ma tam czego na sumieniu. Być może jednak, że zamierza wyrządzić coś złego. W tym wypadku musielibyśmy, acz z przykrością, przeszkodzić jego szlachetnym zamiarom!

Przybyli przed dom. Szerlok Holmes zeskoczył z konia i udał się do mieszkania.

Po południu punkt o 4-tej przybył na objad do miss Langsfield.

Aktorka zajmowała apartament złożony z kilku pokojów na II piętrze na Victoria-Street i była wspaniale urządzoną.

Harry pozostał w przedpokoju, by być na każde zawołanie swego pana.

— Jednemu się tylko dziwię! — że ten człowiek jest tak mało zazdrosny! — mruknął, gdy Holmes wchodził do salonu.

Detektyw obrócił się nagle i zawołał uśmiechnąwszy się:

— Zapominasz ustawicznie o lady X.!

I po tych słowach zniknął.

— Lady X.? — myślał Harry. — To musi być ta sama, która uprowadziła tajemniczego pana Le Noile, a w którym, jak się zdaje kochają się wszystkie kobiety! Ale co ma lady X. z zazdrością pana Le Noile'a wspólnego?

Ale tej zagadki psychologicznej nie mógł Harry bez pomocy swego mistrza rozwiązać! Zadowolił się zatem na razie umizgami do pięknej pokojóweczki, do pani Langsfield należącej, z którą dla zabicia czasu zaczął flirtować.

Holmes był w salonie nadzwyczaj uprzejmie przyjęty. Zamiast rajtroka miał teraz frak na sobie, zatrzymał jednak czarną bródkę i był frapująco do francuza podobny.

— Miałem sposobność widzieć panią w jednej z najświetniejszych jej ról! — zwrócił się Holmes do aktorki.

Uśmiechnęła się z fałszywą skromnością.

— Wiem bardzo dobrze panie markizie, że jeszcze mi wiele brakuje do doskonałości. W Paryżu macie lepsze aktorki!

— Jedna chyba Sara Bernhardt przewyższa panią!

— Za pozwoleniem, panie markizie, Bernhardt to stara baba!

— Wszystko jedno! ale znakomita artystka! — odparł entuzyastycznie Holmes, naśladując w tem urodzonego paryżanina.

— Na każdy sposób zabawię tylko krótki czas w Londynie — mówiła artystka. — Biorę urlop i jadę do Włoch dla odpoczynku.

— Do Włoch w lecie, na te gorąca? — zadziwił się detektyw.

— Gorąco nie robi na mnie najmniejszego wrażenia!

W tej chwili wszedł do pokoju służący artystki i stanąwszy za krzesłem Le Noile'a, szepnął:

— Ten pan, o którym pan wiesz, przyszedł!

Chemik zerwał się gwałtownie.

— Wybacz na minutkę, markizie!

I przeszedł do drugiego salonu.

Szerlok Holmes, chcąc odwrócić wszelkie podejrzenia od siebie musiał udawać nadzwyczajne zajęcie się rozmową i nie mógł oczywiście ani słówka słyszeć z tego, co Le Noile mówił ze swym gościem w sąsiednim pokoju.

Natomiast rolę mistrza swego objął Harry.

Widział dotyczącego pana, gdy wchodził do pokoju.

Był to gruby, śmieszny człowieczek lat może 40-tu.

Miał na sobie garnitur w kratkę, białą jak śnieg kamizelkę, na której wisiał gruby złoty łańcuszek. Na łysej głowie zdradzała niedyskretnie obecność swoją peruka. Wszystko znamionowało bogatego człowieka.

Zameldował się jako p. Marmont i prowadził za sobą cały szereg sług.

Przed drzwiami — w sieni — czekał na niego czarny murzyn w towarzystwie dwóch kamerdy-

nerów, przed bramą stał w czwórkę zaprzężony powóz ze stangretem i lokajem na koźle.

Harry zagadnął młodą pokojówkę o tego oryginała.

— Interesujący człowiek! — odrzekła — ma tyle pieniędzy, że cały Montmartre mógłby niemi zasypać, a wtrwonieniu ich wpada na prawdziwie oryginalne pomysły!

Harry nie mógł wytrzymać, i gdy tylko pokojówka wydaliła się na chwilę, przyłożył ucho do salonu.

Marmont mówił po francusku.

— To powiadam panu, panie Le Noile! Cierpliwość moja już się wyczerpała! Albo przeprowadzisz pan dowód, albo zdemaskuję pana!

Le Noile zaśmiał się z afektacyą.

— Zdemaskujesz pan sam siebie, nie mnie! Zresztą w takim razie stracisz pan swoje pieniądze, bo tajemnica moja spoczywa w skarbcu bankowym!

Następnie rozmawiali zupełnie cicho, aż wreście rzekł francuz idąc ku drzwiom:

— A zatem do widzenia, w trzech dniach w Paryżu!

— Bardzo dobrze, panie Marmont! Do widzenia!

Śmieszny pan wyszedł.

Harry wybiegł niepostrzeżenie za nim. Nieznajomy kazał się wieść prosto do hotelu. Już w westibulu czekało na niego mnóstwo francuzów. Zwłaszcza jeden zwrócił szczególniejszą uwagę Taksona na siebie. Był to atletycznej budowy mężczyzna, z gładko wygoloną twarzą i bystremi oczyma.

Nie spuszczał on wzroku z pana Marmont, podczas, gdy ten ostatni rozmawiał z ożywieniem z otaczającymi go klientami.

Po chwili spostrzegł go Marmont. Żyły nabrzmiały mu na czole i z rozmachem, jakiego by się po tym grubym człowieku nikt nie spodziewał, rzucił się na niego.

— Znowu pan tu? Czego chcesz?

— Niczego! Wolno mi stać, gdzie mi się podoba!

— Nie wolno! Ja panu nie pozwalam! Portyer! wypłacam natychmiast 1000 franków, jeżeli tego draba wyrzucisz na ulicę, żeby wszystkie kości połamał!

Zrobiło się zbiegowisko i skandal.

Dyrektor hotelu pospieszył i objaśnił panu Marmontowi, że nawet za 1000 fr. nie wyrzuca hotel nikogo za łeb na ulicę!

— A zatem ofiaruję 20.000, 100.000 fr. jeżeli go kto uśmierci, tego łajdaka!... Nie ma nikogo? A więc sam to uczynię!

Z zaciśniętemi pięściami rzucił się na swojego przeciwnika, który z całym spokojem oczekiwał ataku. W decydującej chwili chwycił Marmonta w pół, podniósł w górę i z taką siłą cisnął o ziemię, że biedny francuz podnieść się nie mógł przez jakiś czas z ziemi.

Znowu musiał interweniować dyrektor hotelu.

Pan Marmont nie miał ochoty ponownie próbować walki z silnym przeciwnikiem.

Poprosił kilku panów ze sobą i udał się na górę do swego numeru, odgrażając się nieznajomemu, że zamówi dla niego kilku strasznych bandytów.

Harry patrzał zdumiony na tę scenę. Wreście przystąpił do niego i kłaniając się grzecznie, rzekł:

— Mój panie! Czy mogę prosić o pańskie nazwisko? Ja jestem Harry Takson, uczeń Szerloka Holmesa!

Zagadnięty, człowiek o bystrych oczach i regularnych, ostrych rysach twarzy, odkłonił się i rzekł uprzejmie:

— Cieszę się panie Takson z poznania pańskiej osoby, jak również wielkim zaszczytem byłoby dla mnie osobiste spotkanie się z pańskim mistrzem, co się mnie jednak tyczy muszę zachować incognito, gdyż tak mam najsurowiej przykazane!

— Ale śledzisz pan, p. Marmont?

— Zgadłeś pan!

— Co pan zamierza? Czy nie aresztować go?

— Domyśl się pan sam, nic powiedzieć nie mogę!

— Trudnem to będzie zgadnąć!... Ale jeszcze jedno słowo: Kto jest ten pan Marmont?

— Marmont jest bogatym paryskim przemysłowcem z ulicy Rivoli, który zabrał kilkanaście milionów, i który chce koniecznie majątek swój podwoić. Ale wybacz pan — obowiązki powołują mnie.

Harry oddalił się.

ROZDZIAŁ III.

Nowa awantura

— Za parę dni pojedziemy do Paryża! — rzekł Holmes na drugi dzień do Taksona.

— Dla czego nie dzisiaj wieczór, mistrzu?

— Ponieważ po pierwsze chcę obserwować pana Le Noile, powtóre mogłoby to jakie podejrzenie obudzić, gdybyśmy z nim razem zjawili się w Paryżu.

— Czy ma pan dzisiaj coś szczególniejszego w programie?

— Jedno tylko: Gdym opuszczał dom aktorki, otrzymał La Noile bilecik, który natychmiast ukrył w kieszeni, o którym więc nie chciał, by pani Langsfield wiedziała!

— List miłosny?

— Charakter kobiecy zdawałby się na to wskazywać!

Późno wieczór wrócił detektyw do domu, gdzie go z niepokojem uczeń oczekiwał.

— I cóż mistrzu?!—zapytał z ciekawością.

Detektyw zrzucił płaszcz ze siebie, zapalił fajeczkę i rzekł spokojnie:

— Tajemnica uprowadzenia mistycznego pana Le Noile jest wyjaśniona!

— Tak? Dlaczego dyrektor Blackhourst go pojmał, dlaczego Le Noile uciekł?

— Opowiem ci wszystko! Zapominasz o najważniejszej osobie w tej aferze, o owej nieznajomej damie!

— Słusznie mistrzu! Czy pan znasz tę kobietę?

— Tak!

— Co za cel miała, by go wydać w ręce wrogów?

— Żadnego! Prosty zbieg okoliczności! Pani X (ze względu na dyskrecyę nazwijmy ją tak!) przyszła do pana Le Noile. Ten niechciał, by się o tem aktorka dowiedziała, również i pani X, która ma bardzo zazdrosnego męża nie byłaby rada z tego gdyby ją kto był widział. Oboje udali się powozem na przejażdżkę. Le Noile pojechał z tą damą do Bardingtown. Tu wysiadł, a lady wróciła powozem do domu. A teraz zrozumiesz wszystko. La Noile został w powrotnej drodze napadnięty.

— Więc aktorka nie wie nic o owej damie X?

— Nie!

W parę dni byli obydwaj detektywi w Paryżu i tam polecił Taksonowi śledzenie za panem Marmont, który już w całym Paryżu był znany.

Już najbliższego wieczoru miał Harry sposobność zrobić pewne ciekawe odkrycie. Mormont pojechał automobilem do Clichy. Harry miał na tyle czasu, że wynajął drugi pojazd i w stosownem oddaleniu jechał za Francuzem.

Z jakie pół godziny drogi za Clichy stał ładny pałacyk w stylu Ludwika XIV., który prawdopodobnie nabył Marmont na własność. Ładna ta budowla była zupełnie wtulona w olbrzymi park angielski, który znowu otoczony był dokoła wysokiem oparkanieniem.

Dziwnem zdało się Taksonowi, że Francuz odwiedza swą posiadłość tak późno w nocy, dziwniejszem jeszcze, że nie zajechał wprost pod bramę, lecz wysiadł na kilkaset kroków przed swą posiadłością, a sam piechotą udał się potem do bramy. Następnie otworzył kluczem bramę, zamknął ją starannie za sobą i wszedł do domu. Harry widział to wszystko ukryty w gęstych krzakach bzu.

Nagle po raz wtóry zaskrzypiał klucz w zardzewiałym zamku, brama otwarła się i wysoka jakaś postać wsunęła się do parku. W Harrym zadrżało serce, by nie był spostrzeżony, gdyż księżyc wypłynął właśnie z za chmury i oświecał jak za dnia zarośla, wśród których skórczony jak wąż z zapartym oddechem leżał na czatach młody detektyw.

Był to Le Noile, za którym lisim krokiem posunął teraz Harry, kryjąc się w cieniu drzew, przypadając do ziemi, czając się i wypływając znowu.

Le Noile zniknął już w domu. Harry podsunął się pod jedyne oświetlone parterowe okno, wspiął się ze zręcznością małpy na gzyms i zakryty konarami drzewa zwieszającemi się na szyby, wytężył wzrok i słuch.

Oto co ujrzał!...

Marmont siedział na sofie rozwalony jak basza. Na to wszedł Le Noile i pozdrowił Francuza z tą jowialną poufałością, w której jest spora doza lekceważenia.

Pokój urządzony był z wielkim przepychem, w stylu Empir; wszystko mówiło tu o bogactwie gospodarza.

— No, panie Le Noile, kazałeś pan długo czekać na siebie! — rzekł Marmont z wymówką.

— Czyś pan oszalał, panie Marmont? Czy są-

dzisz, że mogłem na skrzydłach przelecieć Kanał La Manche?

— Już dobrze, dobrze! Nie denerwuj się pan! Wiesz, ile zależy od twojego spokoju.

— Który mi pan odbierasz!... A w takim razie będziesz pan tylko poszkodowanym!

— Na miłość Boską, człowieku! Nie mów nawet o tem! Czy wiesz, że w całym majątku posiadam jeszcze tylko 5 kroć sto tysięcy fr. — Reszta już poszła!

Le Noile zrobił rozczarowaną minę.

— To jest wszystko? — zawołał — Z góry panu powiadam, że co najmniej potrzebuję jeszcze 300.000 fr.!

— Jeszcze 300.000?!... Le Noile! Na Boga! Wszak wybrałeś już odemnie milion fr. przeszło!

— A czy masz pan pojęcie, co kosztuje piec do topienia? Teraz jest już wszystko gotowe i możemy doświadczenie rozpocząć!...

Marmont poskoczył żywo z kanapy.

— Natychmiast? — zapytał.

— Natychmiast, nie!... Nie masz pan za grosz cierpliwości! Za jakie 8 dni spodziewam się przystąpić już do intenzywnej pracy!...

— Mogę więc rozesłać komunikaty do dzienników?

— Jak się panu podoba! Na pierwszą próbę możesz pan w każdym razie zaprosić ilu tylko chcesz uczonych i rzeczoznawców!

— Czy jesteś pan tak pewny swego sukcesu? La Noile uderzył się w piersi.

— Marmont! — zawołał tonem silnego przekonania — wzbogacisz się pan tem o kilkanaście milionów!

— I to można powtarzać dowolnie! Brawo! teraz pokażę tej całej hołocie, kto to jest Marmont!

— Nie mów pan tak głośno!... Nawet ściany mają uszy!

— Tu nie, Le Noile! Ale dla pańskiego uspokojenia każę spuścić psa z łańcucha!

Harry usłyszawszy tą miłą obietnicę opuścił swoją kryjówkę i bocznemi ścieżkami pognał jak szalony ku wyjściu. A był czas najwyższy! Olbrzymia amerykańska doga pędziła za nim ujadając z wściekłością, a gdyby go dostała była w swe paszczęki, z biednego Taksona pozostałyby z pewnością tylko krwawe strzępy. Ale Harry przeskoczył już sztachety, znalazł się na drugiej stronie i pospieszył na najbliższy dworzec kolei, skąd szczęśliwie dostał się do Paryża.

Holmes pochwalił działalność swego ucznia i rzekł pykając z ulubionej swojej fajeczki:

— A jednak ten Marmont nie jest taki głupi za jakiego miała go jego rodzina!

— Co ma rodzina z tem do czynienia?

— Rodzina posłała mu przecież na kark detektywa, którego widziałeś w hotelu i z nim mówiłeś!

— Ale dlaczego — — —

— Cierpliwości mój synu! Wiesz o tem, że Marmont stracił już trzy czwarte ze swoich milionów. Rodzinie liczącej na suty spadek wcale to nie jest na rękę, by dla jakiejś utopii podwojenia majątku przepuścił to wszystko, co ma jeszcze. Detektyw na zlecenie rodziny śledzi go więc i zbiera materyał potrzebny do oddania go pod kuratelę. Marmont nie jest tak głupi i obawiam się, że detektyw może popaść z tej przyczyny w jakieś niebezpieczeństwo.

— A więc Marmont — jest zbrodniarzem?

— Oszalałeś? Marmont i zbrodniarz? Nie, takie natury nie mają inklinacyi do zbrodni, chociaż nie wykluczam że i on posunąłby się do gwałtownych środków, by cel swój osiągnąć.

Pewnego razu wpadł Taksonowi numer gazety „La Patrie“ z ciekawym artykułem, który bezzwłocznie pokazał swojemu mistrzowi.

Artykuł ten brzmiał:

„Serya tajemnic.

Parowiec spacerowy „Ville de Paris“, należący do paryskiej kompanii „Constance & Comp.“ był — jak o tem donosi nam podmorski telegraf — widownią całego szeregu sprytnie pomyślanych oszustw, które wzbudziły niesłychane oburzenie wśród pasażerów.

Chcąc dać możność podziwiania wspaniałych widoków natury, jechał parowiec w całkiem wolnym tempie z Havru, wzdłuż wybrzeży Szkocyi, kierując się ku Szpicbergowi. W czasie jazdy zameldowała jedna z pasażerek kapitanowi, że padła ofiarą znacznej kradzieży. Kapitan wszczął dochodzenia, atoli zgłosiła się i druga osoba do niego z tem samem zażaleniem. Dotychczas są na statku trzy damy poszkodowane w ten sposób, a policyi okrętowej jest niemożliwością dojście, kto spełnia owe kradzieże, które bądź co bądź mogą poważnie podkopać w publiczności zaufanie do kompanii „Constance & Comp.“, której własnością jest statek „Ville de Paris“.

— Ach! panie Holmes! Co za szkoda, że jesteśmy tu obowiązkami przykuci! Tę awanturę powinien pan wziąć w swoje ręce!

Szerlok Holmes nie odpowiedział na to, tylko nadmienił pomocnikowi, że idzie nadać depeszę i za kwadrans powraca.

Powrócił w kilka godzin dopiero z odpowiedzią i polecił Taksonowi, by spakował mu walizkę i zaopatrzył ją w potrzebną garderobę i utensylia na dni 8. Harry ma w Paryżu oczekiwać jego powrotu i dawać pilne baczenie na Le Noile'a i Marmonta.

— Udaję się na pokład „Ville de Paris“! — objaśnił go krótko

— Jakto?! — zawołał zdziwiony Harry — jeszcze tamta sprawa nie załatwiona, a już podejmujesz się pan drugiej, nowej afery?

— Kto ci powiedział, że to jest nowa afera? — zapytał Holmes obojętnie – Jest to tej samej sprawy, nowy ciekawy epizod!...

ROZDZIAŁ IV.

Niebezpieczny przeciwnik.

Pasażerowie statku „Ville de Paris“, składali się wyłącznie z przedstawicieli najelegantszych sfer towarzyskich całego świata. Ukazanie się nowego dystyngowanego gościa w osobie Szerloka Holmesa, wzbudziło ogólną uwagę, potem jednak przeszli pasażerowie nad tem do porządku dziennego, każdy bowiem zajęty był samym sobą i wrażeniami uroczej podróży.

Holmes był oczywiście w przebraniu i ucharakteryzowaniu nie zdradzającem w niczem właściwego jego powołania.

Kompania „Constance & Comp.“, zaniepokojona ustawicznemi, sporadycznie powtarzającemi się kradzieżami na statku „Ville de Paris“, zaangażowała specyalnie pewnego francuskiego detektywa.

Kompania nie mogła zdaje się lepiej trafić, gdyż detektyw ów, nazwiskiem Marion, pełnił prócz swoich zawodowych obowiązków, także — już z własnej chęci — powinności eleganckiego szarmanta wobec dam i nie było na pokładzie prawie ani jednej istoty płci żeńskiej, nie zakochanej po same uszy w młodym detektywie, którego żywe, ciemno-niebieskie oczy i czarne wąsiki, posiadały prawdziwie jakiś magnetyczny wpływ na serca kobiece.

W tej chwili znajdowało się na pokładzie całe prawie towarzystwo, którego centrum stanowił młody, piękny detektyw. Dowcipkował, prawił komplementy i bawił damy w niezrównany sposób.

Nagle rozległ się przeraźliwy krzyk starszej jakiejś damy.

— Na miłość Boską! Skradziono mi mój kosztowny pierścień brylantowy! Siedem tysięcy koron kosztował!... To przecież okropne!.. Złodziej musi być tu gdzieś w pobliżu, bo przed chwilką miałam jeszcze pierścionek na ręku!

Kapitan wpadł blady na statek, a p. François Marion przecisnął się przez tłum, by szukać śladów złodzieja.

Powstał popłoch niebywały. Wtem zabrzmiał nagle donośny jakiś głos:

— Stójcie moi państwo! Niech nikt nie opuszcza pokładu!

Wszyscy obrócili głowy w kierunku głosu. Holmes stał tak, że go wszyscy mogli widzieć i rzekł do kapitana:

— Każ pan zamknąć pokład!... To nie może trwać dłużej! Szanowni pasażerowie poddadzą się choćby we własnym swoim interesie rewizyi osobistej!

Pewnej młodej lady poruczono przeprowadzenie rewizyi u dam, podczas, gdy Szerlok Holmes zajął się obszukaniem panów.

Nikt nie wiedział, kto on jest, ale sposób, w jaki do niego kapitan się odniósł — zjednał mu ogólny szacunek.

Rewizya miała zupełnie normalny przebieg, a nawet niektórzy z pasażerów odnajdywali w tej przykrej samej przez się formalności — pewne humorystyczne strony. Najswobodniejszym był atoli francuski detektyw p. Marion, który nie przestawał dowcipkować i przekomarzać się z damami na pokładzie.

Ale w swojej wesołości nie zauważył, że tuż obok stała pewna młoda lady, i gdy okręt silniej się zachwiał — stracił nieopatrzny młodzieniec równowagę i przewrócił się pod nogi panience, pociągając i ją za sobą w upadku.

Uwaga, z jaką śledzono przebieg rewizyi, została chwilowo przez to intermezzo przerwaną.

Zmięszany młodzieniec porwał się ze ziemi

i przepraszając stokrotnie panienkę podał jej podręczną torebkę, wytrąconą przypadkiem z ręki.

Rewizya trwała dalej i wreszcie przyszła kolej na przeszukanie kieszeni francuskiego detektywa, której to operacyi dla przykładu musiał się i on bez względu na swój urząd poddać.

Holmes spełnił z uśmiechem swoją funkcyę, ale im dokładniej badał kieszenie Francuza tem poważniejszy wyraz przybierała twarz jego.

Wreszcie mógł p. Marion ustąpić.

Na żartobliwą jakąś uwagę odpowiedział Holmes zimnem spojrzeniem tylko, odwrócił się od niego i podszedł do owej pani, która opłakiwała stratę drogiego klejnotu.

— Lady, proszę na słówko! — rzekł do niej półgłosem — Czy przypadkiem francuz Marion nie pocałował pani przed kwadransem w rękę?

— O, yes!... Wtedy miałam jeszcze na palcu pierścionek!

— A raczej przedtem — poprawił Holmes z naciskiem.

— Czy znaleziono go u p. Marion?

— Nie!...

— Jakżeż pan możesz więc rzucać podejrzenie na zacnego młodzieńca — —

Nie dokończyła zdania, bo w tej chwili rozległ się krzyk na okręcie:

— Pierścionek się znalazł!

Szerlok Holmes zagryzł wargi i założył ramiona na piersi.

Ze spuszczoną głową, cała zapłakana weszła z kabiny, gdzie rewizya dam się odbywała młoda miss Gould, córka milionera — prowadzona przez kapitana.

U niej znaleziono skradziony pierścionek.

Wśród ogólnego oburzenia zaklinała się biedna dziewczyna, że niema przeczucia, skąd mógł się ten klejnot znaleść u niej. Nie wierzył jej nikt wobec wyniku rewizyi i sam kapitan patrzył na nią nieufnym, surowym wzrokiem.

Wtedy znalazł się przy jej boku Szerlok Holmes.

— Kapitanie! — rzekł — oszczędź tej damie dalszej nieprzyjemności! Ja ręczę za nią!

Zagadnięty skłonił się przed nim. Niemniej jednak był zdumiony tym nowym senzacyjnym zwrotem.

Wtedy atoli wystąpił François Marion i głos zabrał:

— W imieniu francuskiej policyi protestuję, by osobę przekonaną o kradzież chronić bez żadnych danych przed odpowiedzialnością!

— A ja protestuję w imieniu sprawiedliwości ludzkiej, by niewinną, a będącą w fałszywem podejrzeniu piętnować jako zbrodniarkę! — zawołał uroczystym głosem wielki detektyw. Zdjął perukę i brodę i obrócił się pełną twarzą ku publiczności.

Ze wszystkich ust wyrwał się okrzyk radości i zdumienia:

— Szerlok Holmes!!

Marion odszedł jak zmyty — —

Gdy Szerlok Holmes udał się wieczorem do swojej kabiny i zapalił w niej elektryczne światło spojrzał badawczo na podłogę. Potem, jakby mu nowa myśl przyszła do głowy, zaczął skrupulatnie badać dywan. Po chwili wzruszył ramionami i wyszedł na pokład.

Tu zastał pana Marion siedzącego na pokładzie i swobodnie flirtującego z młodemi damami.

Szerlok Holmes siadł obok i przez jakiś czas w milczeniu patrzał na podeszwy eleganckiego jego obuwia. Potem wrócił do kabiny i powtórnie poddał szczegółowemu badaniu dywan na podłodze i znajdujące się w kajucie przedmioty.

Wreszcie rozebrał się i położył do łóżka. Spracowany i umęczony pracą całego dnia zasnął znakomicie i spał znacznie dłużej, niż zwykle, do czego nie mało przyczyniło się świeże morskie powietrze.

A może i dłużej byłby spał jeszcze, gdyby go nie były zbudziły krzyki, rozlegające się na pokładzie. Ubrał się więc pospiesznie i wyszedł trzymając w ręku aparat fotograficzny, miał bowiem niekłamaną chęć uwiecznienia na pamiątkę rysów bajecznego francuskiego detektywa.

Gdy się tylko ukazał, otoczyło go grono pań i panów wołając:

— Dzięki Bogu, że pan jesteś tu znowu, panie Holmes! Nowe, wielkie złodziejstwo! Kolia w wartości 400.000 franków zginęła!

Marion zastąpił mu drogę i mówił z widocznem wzburzeniem:

— Znowu kradzież! Zastosowałem wszystkie środki mające na celu wykrycie sprawcy, ale jak dotychczas — nadaremnie!...

Wielki detektyw przeszył go bystrym swoim wzrokiem.

— Dla czego grasz pan taką komedyę, panie Marion? — zapytał po cichu.

W tej chwili rozległ się głos kapitana z pomostu:

— Powoli wstecz!

Zbliżano się do stacyi.

Obecni nie mogli słyszeć cichej rozmowy prowadzonej na boku między francuzem i Holmesem.

Marion odpowiedział:

— Jakto pan rozumie, panie Holmes?

— Rozumię to w ten sposób że pan jesteś jednym i jedynym złodziejem na pokładzie statku „Ville de Paris!“ To, co się panu wczoraj udało, nie uda się już z pewnością dzisiaj! Oświadczam panu, że w tej chwili go przyaresztuję i każę zrewidować w obecności wszystkich pasażerów!

Marion zbladł.

— Nie znalazłbyś pan nic, podobnie jak i wczoraj nic nie znalazłeś — odpowiedział z wymuszonym uśmiechem.

— Mylisz się pan!... Wczoraj wrzuciłeś zrabowany pierścionek do torebki owej lady, którą niby to przypadkowo obaliłeś na ziemię!

— Trudno byłoby to panu udowodnić!

— Dzisiaj za to łatwiej mi przyjdzie.

Marion o krok się cofnął.

— Pan nie uczynisz tego!

— Masz pan słuszność!... Nie uczynię tego!

Francuz zrobił głupią minę.

— Czy pan kpi ze mnie?

— Bynajmniej! Dojeżdżamy do przystanku. Pan chcesz zapewne tu wysiąść?

Francuz Marion zmięszał się jeszcze bardziej.

— W rzeczywistości miałem ten zamiar!

— To wysiadaj pan, zanim go złapią!

— Nie rozumiem pana, panie Holmes! Przypuśćmy, że masz pan słuszność, to dlaczego wypuszczasz mnie pan wolno?!

— Ponieważ żal mi cię młody człowieku! Idź i rozpocznij inne życie!

— Dzięki, serdeczne dzięki! Tak, panie Holmes! Błądziłem, ale od dziś dnia się poprawię!... Żegnaj mi.

Okręt zatrzymał się krótko na małym przystanku i popłynął dalej. — Mariona nie było już na pokładzie.

Ale pasażerowie otoczyli Szerloka Holmesa, prosząc natarczywie o wyszukanie złodzieja. Największy interes oczywiście miała w tem poszkodowana.

— Moi państwo! — zawołał detektyw donośnie — Mam nadzieję, że w przeciągu kilku tygodni pomogę wam w odzyskaniu skradzionych rzeczy. Na dzisiaj musicie się zadowolnić tą obietnicą! Sądzę, że moje nazwisko daje wam dostateczną gwarancyę!

Najbliższą stacyą była Christiania.

Gdy parowiec zatrzymał się przed portem, zjawiło się na pokładzie kilkunastu policyantów, a kapitan ogłosił, ażeby nikt statku nie opuszczał.

Dwóch inspektorów policyjnych mając w ręku po egzemplarzu wielkiej fotografii przechodzili wzdłuż ustawionej w dwa szeregi publiczności i patrzyli bacznie każdemu w oczy.

W tej chwili, gdy przechodzili obok Holmesa, krzyknął jeden z nich:

— Oto on!

Drugi dodał:

— Tak jest! To on!

— Ależ to Szerlok Holmes! — zawołał kapitan, który szedł za nimi.

— Szerlok Holmes? Nie, kapitanie! To jest złodziej z okrętu „Ville de Paris!“

— Kto to wam powiedział?

— Drogą telefo-fotograficzną otrzymaliśmy jego podobiznę z Paryża.

Holmes uśmiechnął się po raz pierwszy od dłuższego czasu i rzekł:

— Powiedz mi pan, czy policya Chrystyańska chce się koniecznie zbłaźnić w oczach całego świata?!

Jeden z policyantów krzyknął z wściekłością:

— Milcz pan, i oddaj nam swój aparat fotograficzny!

I przy tych słowach wyrwał mu z rąk kosztowny „Kodak“, otworzył przemocą, niszcząc całe urządzenie — i wyciągnął ze środka — — — skradzioną kolję brylantową!....

Krzyk oburzenia rozległ się zewsząd.

— A co nie mamy słuszności? — zawołał inspektor z tryumfem.

— Czy on nie jest zbrodniarzem?

Kapitan schwycił się za głowę.

— Ja już nic nie wiem! Na moim statku powaryowało wszystko chyba!...

— Z wyjątkiem nas! — dorzucił ironicznie jeden z urzędników.

Kazali Holmesowi iść z sobą i wśród niebywałej senzacyi wyprowadzili go z okrętu.

Po krótkiem przesłuchaniu na policyi i wylegitymowaniu się detektywa, gdy się przekonano,

z kim istotnie jest do czynienia — uzyskał Szerlok Holmes natychmiast wolność.

Pojechał do Kopenhagi, a stamtąd okrętem do Szczecina. Najbliższy pociąg „Ekspres“ zawiózł go przez Berlin do Paryża.

ROZDZIAŁ V.

Tajemnice pieca do topienia.

Harry oczekiwał już od kilku dni z wielką niecierpliwością powrotu Holmesa.

— I cóż? — zapytał wielki detektyw wychodząc z wagonu i zwracając się do uradowanego ucznia.

— Rozmaicie mistrzu! Marmont traci pieniądze w dalszym ciągu i jest na pół zwaryowany dzienniki bowiem rozgłosiły wiadomość — — — no, zgadnij mistrzu! — jaką?!

— Że Le Noile będzie fabrykował sztuczne dyamenty! — odpowiedział z całym spokojem Holmes.

Harry otworzył z podziwu usta.

— Skąd pan wiesz o tem? Czy czytałeś pan nasze dzienniki?

— Mówię ci, że wracam prosto nocnym „Ekspresem.“

— Więc jak to pan zgadłeś?

— Nie zgadłem, wykombinowałem. Słuchaj! To wcale nie było trudnem! Naprowadzi cię na to spotkanie nasze z czcigodnym dyrektorem południowo-afrykańskiej kompanii. Człowiek ton stoi na czele przedsiębiorstwa eksploatującego pola dyamentowe; posłyszał coś o wynalazku, a raczej cygaństwie pana Le Noile. Złapał go więc i skrył w studni, chcąc wymusić na nim tajemnicę fabrykacyi sztucznych dyamentów.

— A więc pan nie wierzysz w możliwość fabrykowania sztucznych dyamentów?

— Owszem teoretycznie jest to bardzo prawdopodobne. Nie wierzę atoli, by to miał uskutecznić pan Le Noile, którego uważam za zwykłego oszusta i wydrwigrosza! Kiedy ma się odbyć ta generalna próba, na którą zapewne pan Le Noile wraz ze swym wspólnikiem zaprosili kilka powag naukowych?

— Pozajutrze, panie Holmes!

— To mamy czas, by godnie się przygotować na tę uroczystość! Miss. Langsfield zapewne przybyła już do swojego kochanka!

* * *

Tymczasem piec przeznaczony do topienia dyamentów został najdokładniej zrewidowany przez rzeczoznawców i powagi naukowe i skonstatowano, że nie znachodzi się tam nic takiego, coby wynalazcy mogło posłużyć do oszukania komisyi. Narzędzia i przedmioty służące do demonstracyi, zostały opieczętowane.

Sam wynalazca zażądał tego,—by jak mówił— ustrzec się wszelkich zarzutów i podejrzeń.

W nocy, poprzedzającej ów historyczny dzień, skradał się Szerlok Holmes, ubrany w długi płaszcz, wraz ze swym pomocnikiem w kierunku pieca Le Noile'a i korzystając z ciemności, kryjąc się między murami i w cieniu drzew na dalekiem przedmieściu doszli niepostrzeżenie na miejsce, skąd sami niewiziani, mogli dokładnie widzieć i ów piec i wszystko, co się dookoła niego dzieje.

Trzech strażników patrolowało przy piecu.

Minęła w ten sposób godzina, gdy w świetle księżyca dojrzeli detektywi sylwetkę jakiegoś obdartusa, zbliżającego się chwiejnym krokiem.

Andrus pozdrowił uprzejmie strażników i rozpoczął z nimi pogawędkę. Za chwilę zauważył Holmes i Takson, że obdarty człowiek wydostał z zanadrza butelkę i zaczął kolejno częstować stróżów.

— Spodziewałem się tego! — mruknął Holmes do swego ucznia — Chodźmy do domu!...

— Jakto? Nie ujmiemy tego włóczęgi, który z pewnością w jakichś nieczystych zamiarach chce spoić strażników? — zadziwił się Harry — Przecież jasną jest rzeczą, że gdy oni się popiją obdarte to indywidum wejdzie do pieca!...

— To właśnie dobrze!... Gdybyśmy go teraz przyaresztowali, odroczyłby z pewnością pan Le Noile swój historyczny eksperyment i wymknęłaby nam się cudowna sposobność z rąk zdemaskowania oszusta już jutro!

Całą noc nie mógł biedny Harry oka zmrużyć. Wszystko było mu w tej sprawie niejasnem i zawiłem. Bo ostatecznie jakież poszlaki są przeciw Le Noile'owi?

Fabrykant dyamentów miał oprócz aktorki

Mary Langsfield jeszcze jakąś drugą kochankę. Jeżeli to nawet nie jest ładnie z jego strony, nie piętnuje jednak jeszcze na zbrodniarza. Że fałszywie się zameldował — no, ostatecznie i to mu można darować, zważywszy, że wynalazca posiadając tajemnicę fabrykowania dyamentów, wolał być ostrożnym, a trafność jego obaw dowiódł najlepiej wykonany na niego, a raczej zamierzony i przez Szerloka unicestwiony — zamach na jego wolność a może i życie — zamach ze strony dyrektora kampanii południowo-afrykańskiej.

Dlaczegóż miał być Le Noile koniecznie zbrodniarzem? Dla czego twierdził Szerlok Holmes z taką stanowczością, że nie ma wcale zamiaru produkować sztucznych dyamentów?

Tych wątpliwości nie mógł Harry sam rozwiązać!...

Szerlok Holmes zrezygnował tym razem z przebierania się.

W przeddzień jeszcze kupił on karty wstępu na demonstracyę dyamentową i na oznaczoną godzinę znalazł się wraz ze swym pomocnikiem pomiędzy gośćmi. Wśród nich było kilku profesorów chemii, promieniejący radością Marmont, który teraz już wcale nie ukrywał, że on łożył na koszta tego bajecznego przedsięwzięcia i lwia część dochodów jemu przypadnie w udziale.

Zjawił się Le Noile. W eleganckim spacerowym stroju, w zgrabnym słomianym kapeluszu na głowie robił ładny ten chłopiec nadzwyczaj ujmujące wrażenie.

Wszedłszy, pozdrowił publiczność i wdał się w fachową pogadankę z uczonymi.

Wnętrze laboratorium było tak urządzone, by wzbudzić w ludziach wrażenie, że tu odbywają się jakieś tajemnicze sprawy. W rogu hermetycznie zamknięty piec, ściany okopcone, wszędzie pełno retort i słoików napełnionych przeróżnemi barwnemi cieczami. Wszystko to spowite w półmrok, a w rogach pokoju snuły się szare pajęczyny.

— Moi państwo! — zaczął uroczystym tonem Le Noile — proszę jak najuważniej śledzić moje czynności. Ten piec zawiera ogień o niezwykle wysokiej temperaturze. Tajemnicy wynalazku mojego nie mogę wam oczywiście powierzyć. Dokładny jej opis mieści się w zamkniętym tresorze (schowku) pewnego londyńskiego banku.

Upływały godziny za godzinami, w hermetycznym piecu odbywał się tymczasem tajemniczy proces chemiczny.

Ogół publiczności zaczął się już nudzić. Wielu z panów paliło cygara, a kilku dziennikarzy zabawiało się w swojem kółku nicowaniem nieobecnych kolegów i ploteczkami zakulisowemi.

Gorąco wzmagało się w pracowni.

— Jak długo czekamy już kochany Le Noile?

— Dopiero dwie godziny, panie Marmont!

— A jak długo trzeba czekać jeszcze?

— Jeszcze tylko 14 godzin!

Okrzyk przestrachu wyrwał się z ust wielu ludziom.

— Ależ to piekielne tortury! — zauważył z kwaśną miną jeden z profesorów.

— Dla człowieka nauki żadna ofiara nie jest za wielka! Ja wytrzymam tu 14 godzin!

Tymczasem minęła godzina południowa.

Szerlok Holmes trącił lekko Harry Taksona.

— Czy widzisz tego pana tam naprzeciw z gęstą, czarną brodą?!

— Zauważyłem go, i zdaje mi się, że go już gdzieś widziałem!

— To jest mr. Blackhourst, dyrektor min dyamentowych w południowej Afryce! Jest w przebraniu jak widzisz. Teraz rozstrzyga się kwestya jego bytu.

Wreście nadeszła pora.

Zgaszono ogień w piecu i stalowe rury, w których produkowane być miały sztuczne dyamenty ostudzono do tego stopnia, że Le Noile mógł je obcęgami otworzyć. Całą zawartość rur przesypał do dużego naczynia i trzymając je w ręku wystąpił na środek.

Nastała głęboka cisza, że można było usłyszeć brzęk muchy duszonej w sieci przez pająka. Oczy wszystkich utkwiły w wynalazcy. Jeden pchał się na drugiego, zdenerwowanie ogarnęło wszystkich: spokojnymi pozostali tylko Le Noile, Miss Langsfield, Szerlok Holmes i jego uczeń.

Nagle Le Noile podniósł rękę: w palcach trzymał jakiś przedmiot.

— Dyament! — krzyknął ktoś.

— Prawdziwy dyament!... Jaki wielki! Niech żyje Le Noile chluba naszego wieku! — ryczała rezentuzyazmowana publiczność.

Le Noile wyciągał tymczasem z popiołu jeden za drugim wielkie i drobne dyamenty.

Nagle drzwi się na ścieżaj otwarły. Dyrektor Blackhourst z przyprawioną swoją brodą, z okrzykiem: „Jesteśmy zgubieni!“ — chciał wybiedz na ulicę.

Ale Szerlok Holmes zastąpił mu drogę.

— Pozostań pan! Nie pozwalam nikomu opuścić tych miejsc! — zawołał silnym głosem.

Osłupieli wszyscy, a najbardziej pan dyrektor, który miał, jak wiadomo, coś na sumieniu. Ale nikt nie opisze przerażenia Le Noile'a. Zdawało się, jakby piorun w niego uderzył i odebrał mu mowę i zdolność poruszania się.

Z ust wszystkich się wyrwało:

— To jest Szerlok Holmes!...

Wielki detektyw podszedł do niego i rzekł swobodnym głosem:

— Panie Le Noile! my się znamy!

Po głosie poznał chemik markiza z Londynu.

— Kto pan jesteś? — zapytał z gniewem.

— Słyszałeś pan dopiero co moje nazwisko. Jestem Szerlok Holmes.

Ten oglądnął się trwożnie dokoła, a potem rzekł gwałtownie:

— W Londynie poznałem pana pod inną postacią! Czy celem pańskim jest oszukiwanie ludzi?

— Tak jest — niekiedy! — odpowiedział detektyw spokojnie — Ale robię to tylko dla dobra ogółu, podczas, gdy pan uprawiasz oszustwa jako zawód!

— Pan mnie obrażasz! — krzyknął Le Noile i uczynił ruch, jakby się chciał rzucić na niego. Detektyw zajął obronną pozycyę i rzekł:

— Nie przystępuj pan do mnie, bo srogo tego pożałujesz! Mam dowody pańskiego oszustwa!

Głośne „ach“ wybiegło z ust wszystkich.

— Pan ukradłeś te dyamenty!...

— Pan śmiesz

— Przepraszam! Prostuję moje obwinienie! Nie pan je ukradłeś, lecz na twoje polecenie pomocnica twoja.

Ozwał się krzyk i lady Langsfield zawołała:

— To nie jest prawda! Panie Holmes! pan chcesz niewinnych ludzi zgubić dla nadania nowej senzacyi swojemu nazwisku!

— Twierdzenie pani jest zbyt śmiałe, ale nie biorę ci za złe, bo w tej aferze są także i humorystyczne strony! Czy znasz pani ten aparat fotograficzny?

I pokazał jej „kodak“, który miał na pokładzie statku „Ville de Paris“, a który omal nie podał go w podejrzenie o złodziejstwo.

— Co ten aparat ma znaczyć? — spytała aktorka.

— Czy pani nie pamiętasz, że zakradłaś się do mojej kabiny i zamknęłaś kolię dyamentową do tego aparatu, by się tylko pozbyć niemiłej mej osoby?

— Panie Holmes, pan się mylisz!

— Pani! podziwiam jej spokój! Ale w tej chwili przeszukali tajni ajenci na mój rozkaz mieszkanie pani — i znaleziono w kufrze pani kompletny ubiór męski, zupełnie odpowiadający wzrostowi jej i tuszy, dalej perukę i inne przedmioty używane na pokładzie „Ville de Paris“ — przez francuskiego ajenta Françoís Marion!

— Jeżeli tak było — krzyknęła aktorka z furyą — to dla czego nie zaaresztowałeś mnie odrazu na pokładzie? Dlaczego dopuściłeś się pan przestępstwa służbowego?

— Otóż dla tego moja panienko — odparł Holmes z ironicznym uśmiechem — bo wiedziałem, że złodzieja tego spotkam jeszcze z pewnością. Dla tegom wypuścił ptaszka, by go tem pewniej potem ująć!

Żal mi, żeś do tych łotrostw dała się uwieść swojemu kochankowi i wierzaj najlepiej zrobisz pani dla siebie, przyznawszy się zaraz do wszystkiego!

— Nigdy!

— Dobrze! Więc wyjaśnię pani mój system! Pozostawiłem François Mariona na wolności, dla tego, ponieważ cel jego działania był mi aż nadto wiadomy. Pani, miss Langsfield dokonywałaś tych kradzieży jako Marion i dostarczałaś mu dyamentów, na których kupno środków nie miał, a wreście gromadząc te kamienie mógłby łatwo popaść w podejrzenie.

Miss Langsfield zakryła twarz rękoma i płakała.

Szerlok przesypał tymczasem dyamenty do swojej kieszeni i rzekł:

— Reklamuję te kosztowności, jako własność szeregu osób znajdujących się jeszcze w podróży morskiej na Szpitzberg, a które udowodnią swe prawa własności do nich!

Le Noile wydał okrzyk wściekłości i rzucił się do drzwi z zamiarem ucieczki. Ale już siedział mu na karku pomocnik Holmesa, Harry Takson, który oddał go w ręce najbliższego posterunku policyjnego.

ROZDZIAŁ VI.

Ostateczny tryumf Holmesa.

Zawiedziony w swoich nadziejach, zrujnowany duchowo i materyalnie opuścił, ukrywając łzy wstydu i żalu — Marmont laboratorium swego wspólnika, które stało się dla niego grobem najpiękniejszych nadziei.

Publiczność wychodziła już tłumnie i mało kto nawet zauważył, że dwóch tajnych ajentów przystąpiło do lady Langsfield i okazawszy jej nakaz aresztowania — wyprowadziło nieszczęśliwą, acz zbrodniczą kobietą z sali.

Tymczasem stała się rzecz niespodziewana.

Pewnego razu, gdy Holmes siedział przy porannej kawie w swoim domu w Londynie i zabawiał się swobodną gawędką z ulubionym swoim uczniem — doręczono mu depeszę.

Treść jej była krótka ale wymowna:

„Le Noile uciekł!...“

Holmes poskoczył do telefonu i kazał się natychmiast połączyć z policyą paryzką.

Wrócił po jakim kwadransie do jadalnego pokoju i rzekł do Taxona z nietajoną złością:

— Nie po raz pierwszy psuje nam policya dzieło tak mozolnie przeprowadzone! Wyobraź sobie, co się dowiedziałem!

Le Noile'a wypuszczono na krótki termin ze śledczego więzienia, dano mu żądaną zwłokę, celem rzekomego uporządkowania stosunków. Zbrodniarz skorzystał z wolności w ten sposób, że pospieszył do swego mieszkania i zniszczył część papierów kompromitujących. — Następnie widział się ze swoją kochanką lady Langsfield, którą w międzyczasie także, niewłaściwie, choć z większą słusznością niż jego — wypuszczono na wolną stopę.

Potem był w jakimś sklepie, a następnie, jak się zdaje uciekł do Londynu.

— Zbyt słabe to poszlaki, by kierując się niemi można po raz wtóry dostać łotra w ręce! — rzekł smutno Harry.

Holmes potrząsł głową.

— Le Noile ma jedną słabość, kochany Harry! Ostatni sklep jaki odwiedził, był to sklep z rękawiczkami!

— To i co z tego? Czyż on jeden tylko nosi rękawiczki?

— Bez kwestyi! Ale bohater nasz ma szczególniejszą słabość do żółtych rękawiczek! Ile razy go widziałem zawsze paradował w cytrynowych rękawiczkach!...

* * *

Pewien młodzieniec o gładko wygolonej twarzy i w niemożliwie żółtych rękawiczkach kazał się pewnego razu zameldować przy ulicy Oxford w domu lady Lowell, żony pewnego wysokiego urzędnika.

Nie bawił nawet kwadransa, gdy do bramy tegoż samego domu zbliżało się szybko dwóch ludzi. Szerlok Holmes i Harry Takson.

— Założę się, że tu go dostaniemy! — mówił detektyw — Mówiłem ci już, że wyszukałem ową damę, która omal nie popadła w podejrzenie uprowadzenia Le Noile'a.

To, że, Le Noile miał kochankę w osobie pani Langsfield—to mojem zdaniem miało dla niego cel podwójny: Przedewszystkiem była ona nieocenioną siłą pomocniczą w jego oszukańczych machinacyach, po wtóre głośny ten stosunek jego ze znaną aktorką — odwracał podejrzenie, że właściwą jego kochanką była inna kobieta, kobieta, do której właśnie idziemy!

— Ale ta dama musi chyba wiedzieć, że gości pod swym dachem oszusta!

— Jakto? Ona nie zna Le Noile'a tylko Lionela!

Detektywi zameldowali się przez lokaja.

W przedpokoju ujrzał Holmes żółte rękawiczki i wskazał je z tryumfem uczniowi.

— A co? Czy mam słuszność?!

Piękna i dystyngowana kobieta uwikłana w sieć miłosną przez rafinowanego człowieka, wzdrygnęła się i z osłupieniem popatrzyła na nieznajomych.

— Le Noile? Ależ ja jego nie znam!

— Jest to człowiek, który w tej chwili znajduje się u pani!

— To niemożliwe! to pomyłka! Przecież panowie nie widzieliście go wcale.

— A mimo tego poznali! — rzekł Holmes, ująwszy jedną z rękawiczek i czytając wybitą z pod spodu firmę: „Forchon Fréres, Rue Rivoli, Paris“. To jest sklep, w którym był oszust przed swą ucieczką z Paryża.

Mrs. Lowell upadła blizka omdlenia na kanapę.

W tej chwili wpadł do pokoju Le Noile. Chciał uciekać, ale Holmes z pomocą ucznia pochwycił go w swe ramiona.

— Panie Le Noile!... przegrałeś pan partyę!... Bezcelowe jest obecnie próbowanie ucieczki!

Le Noile zaklął przez zęby.

— To jest gwałt!... Ja mam przepis w tresorze londyńskiego banku!...

— Wiem, wiem! Opowiesz pan o tem swym sędziom. Moja misya skończona. Już przez wzgląd na tą damę nie chciej pan, byśmy zawezwali na pomoc policyę!

Fabrykant dyamentów poddał się. Gdy ci trzej ludzie schodzili na dół po schodach — piękna pani Lowell, ofiara oszusta-uwodziciela upadła zemdlona na ziemię.

Le Noile został wydany francuskim władzom do ukarania. Co do miss Langsfield było to już zbytecznem. Nieszczęśliwa dowiedziała się z gazet o stosunku kochanka swego do pani Lowell.

Ona, która dla niego z genialnym niemal sprytem wszystkich oszukiwała — widziała się teraz sama najniegodniej oszukaną.

Nie mogąc tego przeżyć — otruła się nie na długo przed rozprawą karną fabrykanta dyamentów — Le Noile'a.

Swojego czasu narobił ten wypadek wiele hałasu i prasa rozpisywała się szeroko najpierw o „wiekopomnym wynalazku gienialnego francuza", wynalazku, który sprowadzi kompletny przewrót w przemyśle i w handlu światowym. Jednakowoż, gdy wszystkie poszlaki wskazywać zaczęły na to, że ma się tu do czynienia nie tyle z „genialnym wynalazcą", ile bardzo sprytnym oszustem — zaczęła nieśmiało wyrażać swoje powątpiewania, co do fenomenalnego odkrycia, mającego świat uszczęśliwić. Aż wreszcie, gdy Le Noile się zdemaskował, rzuciły się wszystkie pisma i gazety, jak żarłoczne sępy na upragniony tak bardzo przez siebie żer senzacyi i skandalu.

Ale mało kto znał rzeczywisty stan i przebieg sprawy. Mało komu było wiadomem, czyją zasługą główną było zdemaskowanie epokowego szalbierza i oszusta, nikt z pewnością nie wiedział, że Szerlok Holmes prawie jedynie zdarł maskę obłudy z bezczelnej twarzy zbrodniarza — zerwał mu z ramion płaszczyk kapłana nauki, w którą niegodnie się stroił, a miał zgoła inne zamiary i cele nic wspólnego nie mające z Wiedzą, Nauką i Postępem.

KONIEC.

Nr. 22 naszego Tygodnika zawiera między innemi senzacyjną powieść z przygód ***Szerloka Holmesa*** *p. t.* ***Tajemnica hrabiny Castellone.***

FELJETON

Uwagi i przestrogi pana Majtyki,

c. k. emerytowanego woźnego sądowego dla kolegów, będących w czynnej służbie.

Prześwietni Cesarsko Królewscy Koledzy!

Ulubioną moją wiedzą, o czem może kochanym kolegom jeszcze nie wiadomo — to jest filozofia. Lubię się zastanawiać nad wszystkiem, co jest i czego niema, co było i co nie będzie. Kiedy okularami mojej duszy spojrzę w przeszłość, a potem znowu rzucę niemi w teraźniejszość, to mimowoli wyrywa mi się okrzyk podziwu i mówię sobie w duszy, tak żeby żona nie słyszała: „Kalasanty! Fundnij sobie bombę piwa i pomyśl trochę głębiej nad sprawami tego świata!" — Na to odpowiadam sobie znowu w duszy: „Z największą przyjemnością mój kochany, będę filozofem!" — I idę do knajpy.

— Czas pędzi szybko, prawie tak jak tramwaj elektryczny, moi panowie koledzy!... O! to porównanie mi się udało! Nad tą kwestyą chcę się gruntownie zastanowić, a zatem — panienko! Proszę drugą bombkę!...

O czem to chciałem mówić? Aha! O tramwaju

elektrycznym!... Ale co tu można powiedzieć o takim waryacie, który pędzi na złamanie karku, czy tam dyszla, jak człowiek który zjadł kilo śliwek, 5 ogórków i wypił kwartę mleka. Jest to ładny wynalazek, ale nie powiedziałbym, żeby był bardzo poetyczny, już dla tego samego, że te dzwonienie i huczenie przeszkadza w rozmyślaniach filozoficznych, a ja filozofię kocham nad życie. To samo da się powiedzieć i o kolejach żelaznych, z tą tylko różnicą, że poniekąd osładza uciężliwości tej dyabelskiej podróży to, że po drodze są tak zwane „stacye“, przeznaczone na to, żeby człowiek miłujący filozofię, mógł w restauracyi kolejowej pomyśleć nad sprawami tego świata. Maszynista przez ten czas może nabrać sobie wody do lokomotywy.

Ja swoją drogą sparzyłem się raz na mojej kolejowej filozofii. A było to tak:

Wybrałem się z moją żoną na wystawę jubileuszową do Wiednia. W połowie drogi jest tam Przerów, gdzie mają wyborne piwo, jednem słowem bardzo porządna stacya.

Moja baba nie przywykła do dalekich europejskich podróży, zasnęła zaraz za Krzeszowicami, z czego byłem bardzo kontent, bo miałem święty spokój do mych filozoficznych rozmyślań, do których potrzebuję bezwarunkowej ciszy, a moja żona nie jest w tym względzie ani trochę filozofką.

Stajemy wreszcie w Przerowie — moja żona śpi dalej. Dobra nasza! Pytam się konduktora, jak długo stoi tu pociąg? — Trzy kwadranse! — Pomnożyłem prędko w myśli:

$3 \times 5 = 15$ bomb piwa!...

I hop!... byłem już na peronie, a stamtąd dostałem się do restauracyi. Piwo smakowało mi znakomicie i zaraz przyszła mi filozoficzna myśl do głowy, jak to niektórzy ludzie marnują drogi czas na spaniu, jak np. moja żona, zamiast jak ja oddawać się poważnym myślom o sprawach tego świata.

$3 \times 5 = 15$ mniej 7, pozostaje mi jeszcze 8 bomb do wypicia, a więc — myślmy dalej!...

Atoli w trakcie najgłębszego zaciekania się ukazuje się gruby portyer w drzwiach i wyklepawszy całą litanię cudacznych nazw stacyi zakończył groźnym tonem: „Bitte einsteigen — proszę siadać!“

Zapłaciłem za piwo i pędzę na peron. Chwała Bogu, pociąg jeszcze stoi! Podwójna chwała! Znalazłem jeszcze wolne coupée — i w tej chwili pociąg ruszył. Ponieważ miałem mózg trochę zmęczony nadmiernem myśleniem i bałem się, żeby żona tego nie poznała, postanowiłem zdrzemnąć się trochę, a potem odszukać mój babsztyl. Wtuliłem się w kąt wagonu i chrapnąłem.

Zbudziło mnie szarpnięcie za rękaw. Zerwałem się na równe nogi, myśląc, że to katastrofa kolejowa.

— Co się stało! Na miłość Boga! — zapytałem się konduktora, który miał na brzuchu latarkę.

— Nic — odpowiedział — proszę o bilet.

— Bilet? A, to dobrze! Jest, jest bilet i mój i mojej żony!...

I przy tych słowach podałem mu obie karty. Konduktor przytknął bilety do brzucha i w blasku jego skrzywił się z oburzeniem.

— Panie! — rzekł zimnym głosem — to są bilety do Wiednia.

— No, tak! A dokąd pan chciał — do Ameryki?

— My jedziemy do Krakowa!...

A niech cię siarczyste!...

Ja jadę do Krakowa, a moja żona żegluje z tą samą szybkością do Wiednia! Ładny sos!

Cóż było robić? Zapłaciłem bilet do najbliższej stacyi, tam wysiadłem i w nocy poczekałem na pociąg jadący do Wiednia, gdzie na dworcu zabeczaną zastałem moją babę.

Poczciwa kobiecina myślała, że zrobiłem nogę! Na szczęście rzecz się wyjaśniła, ale od tego czasu nie piję nigdy piwa na żadnej stacyi!

Wydawca: Aleksander Ripper. Redaktor odpowiedzialny: Tomasz Wróbel. Drukarnia A. Rippera w Krakowie.

SZERLOK HOLMES

TYGODNIK KRYMINALNY.

Prototypem niestrudzonego, pełnego poświęcenia szermierza porządku i ładu społecznego, był i będzie po wszystkie wieki

SZERLOK HOLMES

najgenialniejszy detektyw i kryminalista, jakiego kiedykolwiek ziemia wydała. Wolny i niepodległy, surowy dla siebie i innych, współczujący z nieszczęśliwymi i szlachetny — nie oddał on genialnego talentu swego w przedajne usługi żadnego rządu, żadnej uprzywilejowanej warstwy społecznej lub koteryi politycznej, lecz całem swojem duchowem i fizycznem jestestwem służył wielkiej Ojczyźnie człowieka — Ludzkości.

Nigdy jeszcze nie było detektywa, którýby w równej mierze łączył **rozum, siłę, przenikliwość, gruntowną wiedzę, odwagę i przytomność umysłu** i wszystkie te rzadkie dary tak szlachetnie i bezinteresownie oddawał na usługi społeczeństwa

Przygody Szerloka Holmesa w Londynie, Paryżu, Wiedniu, Pradze, Petersburgu, Madrycie, Nowym-Yorku, Chicago, San Francisko, Kairze, Indyach, Australii, **jego niepospolita przenikliwość, ruchliwość jego umysłu, jego sprytne kombinacye,** które się opierają na głębokiej znajomości człowieka, a często i na podstawie naukowej, i prowadzą go zawsze do pożądanego celu, **jego żelazna energia,** zwalczająca przeszkody — to stanowi treść senzacyjnych, wysoce interesujących, przykuwających uwagę opowiadań

O SZERLOKU HOLMESIE.

Prócz niezwykłych przygód interesującego tego człowieka — podajemy ponadto w każdym numerze naszego „Tygodnika" — przegląd bieżących a ciekawych wypadków kryminalistycznych, jak niemniej obfitą wiązankę humorystycznych zdarzeń, epizodów i intermezzów z sali sądowej i ogółem z zakresu kryminalistyki.

Każdy numer zawiera prócz tego nieocenione humorystyczne

Uwagi i przestrogi Pana Majtyki

c. k. emerytowanego Woźnego sądowego, który ze skarbnicy swoich doświadczeń życiowych i biurowych sypie prawdziwe klejnoty, mieniące się jak rakiety tysiącem barw w promieniach jego dowcipu i pogodnej ironii.

Niniejszem podajemy spis najnowszych Numerów, traktujących między innymi artykułami także i o przygodach tego genialnego Króla detektywów.

Wyznawcy dyabła.
Pierścień Maryi.
Fałszywy generalissimus.
Dusiciel z Pragi.
Zbrodnicza droguerya.
Katastrofa budowlana.
Mężczyzna pokojówką.
Trzynaście kul.
Rabuś dziewcząt.
Tajemnica pergaminu.
Miłosny szał króla złodziei.
Zagadkowy oblubieniec.
Tajemniczy szofer.
Podróż na północ.
Joly, pies policyjny.
Yoril, bandyta uliczny.

Co sobotę regularnie ukazuje się numer naszego Tygodnika, opatrzony piękną, kolorową illustracyą.

Cena pojedynczego Nru 30 hal. = 15 kop. = 25 fen.

Do nabycia we wszystkich księgarniach, ajencyach dzienników i trafikach, oraz wprost w Administracyi.

Adres Redakcyi i Administracyi Tygodnika Szerlok Holmes: Kraków, Zielona 7.

Skład główny na Królestwo polskie: Księgarnia Komisowa w Warszawie, ulica Waliców 5.

Wydawca: Aleksander Ripper. Odpowiedzialny redaktor: Tomasz Wróbel.

Drukarnia Aleksandra Rippera w Krakowie.